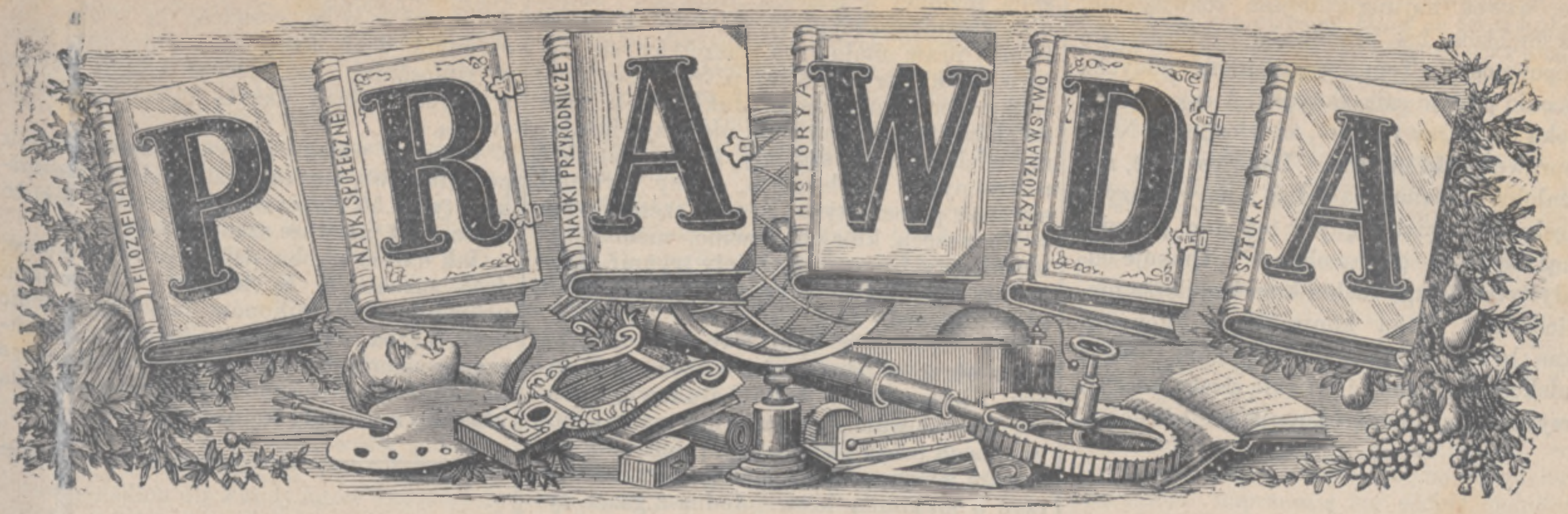
№ 6. Warszawa, dnia 5 Lutego (24 Stycznia) 1887 r. Rok VII.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ:

POLITYKA.

POPŁOCH GIEŁD.

Żadna instytucya ludzka nie potrafi tak wyzyskiwać położeń niepewnych, tak rozdymać wieści, tak nadawać znaczenia pogłoskom i plotkom, jak giełda. Ten potrzebny, niemoralny przybytek nizkich żądz, podstępnych intryg, samolubnych spekulacyj węszy tylko sposobności do siania niepokojów lub nadziei radosnych, zamieniając trwogę lub ufność, złe i dobre przeczucie, znaki szczęścia lub nieszczęścia powszechnego na pieniądze. Trudno było wątpić, że ta instytucya, która z maleńkich komarów umie robić wielbłądy, chwyci i w tysiącu upiorów rozpuści po świecie postrachy wojenne, namalowane na ścianach Europy potężną ręką ks. Bismarka i jego służby. Od kilku tygodni też giełda, wsiadłszy na dzikie bestye, wyprowadzone w Niemczech dla spłoszenia wyborców i spędzenia ich do urny rządowej, wyprawia na nich harce bez wszelkich wędzideł. Kłamie, fałszuje doniesienia, zmyśla legendy, które nazajutrz wiatr rozwiewa, ciągle wywołuje widmo wojny, która ma lada chwila potrząść swą krwawą chustą. Z desek, zakupionych przez francuzów dla postawienia baraków, z kilku pułków, posuniętych ku granicy niemieckiej, z półsłówek prasy paryzkiej spekulacya wydobywa groźne przeciwko bliskiemu niebezpieczeństwu ostrzeżenia. Gdyby to ustawiczne bicie na alarm było tylko zabawką, albo skończyło się na przerażeniu naiwnych, możnaby je lekceważyć. Ale to jest gra hazardowna, rujnująca, sprowadzająca nieobliczone straty. Niepokój sztuczny powoli zamienia się na naturalny, przechodzi po za granice upatrzonego miejsca i chwili, ogarnia szerokie koła i wywołuje przewroty gwałtowne. „Giełdy są przeładowane — pisze sprawozdawca zagraniczny, cytowany przez *Gazetę warszawską* — wszystkie zostają pod tym samym naciskiem politycznym, na wszystkich panuje taż sama obawa, że przy większym jeszcze upadku kursów obroty giełdowe staną się niesłychanie trudne... W czasach zwyżkowych jedna giełda pcha drugą naprzód, teraz zaś doszliśmy już do tego stopnia, że kłopoty jednej giełdy oddziaływają na drugą. Nie ma co mówić o pomocy, jaką w podobnym razie dają arbitraże, bo jeden rynek tak samo nic już przyjąć nie może, jak drugi. Klęska jest powszechna. Nie ominęła ona nawet giełdy nowo-yorskiej, gdyż papiery amerykańskie wysyłane są masami do ich kraju. Tak więc już dziś widzimy szerzące się zniszczenie, które pożera nie miliony, ale miliardy, nim jeszcze zaszedł jakikolwiek wypadek rzeczywisty w polityce."

Niewątpliwie tak jest, chociaż okropnych skutków walki nie widzimy, bo one nie rzucają się tak w oczy, jak starcie orężne i trupy pobojowisk. Wojna ekonomiczna, a przedewszystkiem giełdowa, trwa od lat wielu i pochłania olbrzymie ofiary. W obecnej chwili (środa) rubel spadł w swej wartości do 184 fenigów — kurs niebywały nawet podczas ostatnich wielkich kampanij. I gdyby te straty były przynajmniej kosztami jakiegoś przewrotu, jakiegoś doniosłego dzieła, które zapewni ludzkości szczęście względne, pozwoli jej odetchnąć swobodnie. Miliardy mogą utonąć w przepaściach spekulacyi giełdowej, narody mogą się podrujnować na to tylko, żeby ks. Bismark osiągnął z wyborów pożądaną większość sejmu. W ubiegłym tygodniu telegraf niedwuznacznie otrąbywał wojnę, giełdy doprowadziły zniżkę kursów do kresu, a mimo to świat nie wiedział i nie wie, czy to są istotne hasła bojowe, czy też tylko manewry polityczne. Austrya ściąga armię, zbroi ją, zaopatruje magazyny, nie czekając pozwolenia delegacyi, wydaje na ten cel olbrzymie sumy, objawia jakiś gorączkowy pośpiech — ale wszystko to może być grzmotem sztucznym, potrzebnym kanclerzowi niemieckiemu dla wywarcia nacisku na wyborców. Byłby to za gruby żart. Kto oddawna patrzy na ks. Bismarka, wie, że on przed najgrubszymi żartami w tym rodzaju się nie cofa. Nic nam nie poręcza, że na początku marca, po skończeniu wyborów, wszystkie te swary i hałasy ucichną a na widnokręgu Europy zajaśnieje zupełna pogoda.

Jeden wszakże czynnik może to igranie z ogniem zamknąć bardzo poważnymi skutkami — mianowicie nigdy nieobrachowane a ustawicznie rozpalane namiętności. Wojna jest krzykiem lub szeptem, niemilknącym na ustach rządów, prasy i społeczeństw. Wyraz ten nie zawsze gaśnie, często zapala wysuszone drzazgi i materyały wybuchowe, których Europie nie brak, lub tkwi w uczuciach, w myślach, w pragnieniach, dopóki nie wznieci pożaru. Za długo i za często brzmi to hasło, ażeby ono wreszcie nie stało się istotną pobudką, uznaną koniecznością. Obok warunków politycznych i ekonomicznych, należy w tej sprawie uwzględnić warunki psychiczne, następstwa tej ciągle powtarzanej podniety. Już dziś ustalił się dogmat, że z obecnego położenia niema innego wyjścia, prócz rozprawy orężnej: rozpowszechniają tę wiarę ministrowie, dziennikarze, cały ogół. Czy jest siła, która by zdolna była opanować i wstrzymać umysły, tak gwałtownie pchnięte w tym kierunku?

Najgłówniejszą i najprzeraźliwszą surmą stała się giełda. Ona ani na chwilę nie zawiesza trwogi, nie pozwala społeczeństwom przespać spokojnie jednej nocy, budzi je, wstrząsa, ostrzega, do baczności wzywa, zmorami trapi i wytwarza dręczące naprężenie nerwów. W tej torturze ludzie dochodzą do takiego stanu, że woleliby wszel-

kie, nawet najtragiczniejsze rozwiązanie, niż gnębiącą bez przestanku i miłosierdzia niepewność. Tem pragnieniem oddycha obecnie prawie cała Europa. A czy ona doczeka się burzy i tęczy „na wiosnę?“ Nikt, doprawdy nikt nie wie. Bądź co bądź, należałoby to uznać za jedną z największych klęsk dla świata, gdyby ten stan przeciągnął się dalej, gdyby obecne niepokoje oddały tylko usługę rachunkom kanclerza niemieckiego. Taka kontrybucya ekonomiczna byłaby za wielką i bezpłodną. Jeżeli ludzkość ma ponosić wielkie straty, niechże przynajmniej niemi okupuje wielkie dobra.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Ks. Bismark — od tego wyrazu, jak od „Ojcze nasz,“ trzeba zaczynać wszelki pacierz polityczny — ks. Bismark tedy napomknął w jednej ze swych mów sejmowych, że jeszcze przed wyborami katolicy przekonają się o nieuznaniu papieża dla „centrum,“ które kanclerzowi najwięcej krwi napsulo i ostatni projekt wojskowy z siedmioleciem udaremniło. Czeladź dziennikarska natychmiast ogłosiła, że ich pan ma w kieszeni dowód piśmienny przyjaźni Leona XIII w tej sprawie, a zarazem naganę dla Windhorsta i spółki. Jednocześnie uwiadomiono, że poseł niemiecki przy Watykanie przedstawił papieżowi dalsze ustępstwa swego rządu (co do szkół duchownych, powrotu zakonów religijnych itd.), które, chociaż nie usuwają doszczętnie praw majowych, są jednak ofiarą bardzo znaczną. Że ks. Bismark, chcąc oddziałać na wyborców katolickich i osłabić wpływ stronnictwa „środkowego,“ obdarował Stolicę apostolską świeżym bukiecikiem ustępstw „majowych,“ że Leon XIII chciałby żyć w zgodzie z mocarzem tak potężnym i więcej zaszczytu mu przynoszącym, niż nawet Windhorst ze stogłowym orszakiem — to dla nas nie ulega żadnej wątpliwości. Polityk, dyplomata, czułym jest na związki z mocnymi tego świata. Ale on pamięta, co kanclerz mówił dawniej o „włochu mieszającym się w wewnętrzne sprawy Niemiec,“ wie, że ta słodycz dawnego przeciwnika jest osadem żółci, rozlanej w walce z „centrum,“ że po ubezwładnieniu tej partyi niewątpliwie z ust twórcy praw majowych zaczęłyby się sączyć gorzkie krople, które p. Schlötzer musiałby mocno cukrować. Jakkolwiek tedy do charakteru Leona XIII nie przywiązujemy wielkiej wagi, sądzimy, że on jest zbyt roztropnym i przebiegłym, ażeby wystąpił otwarcie przeciw tym swoim szermierzom w Niemczech, którym głównie, niemal wyłącznie zawdzięcza osiągnięty tryumf. Zdaje nam się przeto, że kanclerz mniej uzyskał, niż głosi.

Używa on i w tym wypadku taktyki, którą obrał w straszeniu wyborców Francyą. Nieszczęśliwe deski barakowe, krwawo pomalowane, są ciągle wystawiane w łamach prasy gadzinowej, która tak zuchwale wyzywa swą sąsiadkę, że musi wierzyć w jej zimną krew. Jedna z gazet, żywionych tą miską, *Post*, zażądała od Rzeczypospolitej, ażeby usunięto gen. Boulangera, jako ministra wojny. Nie potrzebujemy zgadywać, coby odpowiedziano w Berlinie, gdyby jakiś dziennik francuski zażądał usunięcia Moltkego, lub chociażby Bronsarta. Prawa wzajemności pozbawiają prusacy Francyę nie w tym jednym wypadku. Oni mogą ostrzyć sobie włosy i paznokcie, zaopatrywać każdego rekruta w armatę, powoływać ludność męzką średniego wieku do szeregów — to wszystko znaczy „pokój,“ ale niech gdziekolwiek, a zwłaszcza we Francyi, stanie nad granicą nowy barak — w tej chwili niemcy okrzykują wojnę. Cała Europa tak przyzwyczaiła się do ich monopolu uzbrojeń, że żadne państwo przeciw nim nie protestuje, a ze swojemi się kryje.

Przewodnictwo Porty w załatwieniu sprawy bułgarskiej, według wszelkiego prawdopodobieństwa, spełznie na niczem. W Konstantynopolu mają porozumieć się ambasadorowie, ale ich uchwały nie będą obowiązujące dla odnośnych rządów. Nadto Anglia, która chce wygrać proces krętaniną, odmówiła swego udziału. Cankow w imieniu swego stronnictwa przedstawił Turcyi warunki nowego rządu, będące powtórzeniem warunków rosyjskich, ale regencya bułgarska nie zgodziła się na nie. Taniec przeto w błędnem kole trwa dalej.

A tymczasem bęben wojenny nie milknie ani na chwilę. Najzapamiętalej grzmocą weń prusacy z pobudek, które dawniej objaśniliśmy. Wystraszona Austrya poważnie i spiesznie przygotowywa się do walki, nie zaczepnej — o to posądzać ją trudno, ale obronnej. Tam krzątanina wojskowa idzie najwidoczniej. A „wiosna“ ciągle trzyma w swych mgłach ukrytą tajemnicę losów świata.

Włosi w walce z abisyńczykami ponieśli pod Massawą ciężką klęskę. Z 480 osadników tylko 50 pozostało przy życiu. Miasto osaczone a pierwsze szańce zdobyte.

Jak daleče szruba uzbrojeń idzie wgórę, dość zaznaczyć, że kortezy w Hiszpanii uchwaliły 250 milionów na wzmocnienie floty, a Izba rabuńska 5 milionów na dokończenie uzbrojeń. Ciekawa rzecz do czego to dojdzie? Niedługo noworodkowi będą kłaść do ręki mały karabinek.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z NIEMIEC.

Drezno, styczeń, 1887.

Wojna czy pokój? — Broszura o Polsce. — Bank poznański. — Stowarzyszenie imienia Gustawa Adolfa i kościół w Hohenbachu. — Pan Weisbrodt o „białych murzynach“ w Borysławiu i Wolance. — Pogoń za St.-Cerem. — Żywot cesarza dla wojska. — Jubileusz czytelni cieszyńskiej. — Sto lat od urodzenia Byrona. — Nowe książki.

Będzie czy nie będzie wojna?¿ Pytanie to w tej chwili tak samo porusza umysły nad Elbą, jak i nad Wisłą, a odpowiedź na nie również jest tu i tam niepewną. Mocarstwa się zbroją, zakładają obozy, zakazują wywozu koni, ściągają wojska nad granice; papiery spadają w kursie, sypią się broszury i artykuły, wróżące wojnę... A jednak, zdaje się, iż do niej nie przyjdzie, przynajmniej nie tak prędko, jak niektórzy sądzą. Wznowienie alarmu, po niedawnem uspokojeniu i zwyżce giełdowej, przypisać należy zabiegom rządu pruskiego, któremu chodzi o przeprowadzenie na nowym sejmie projektu wojennego; puszcza się w świat różne wieści niepokojące, aby wyborcom napędzić strachu i skłonić ich do obierania posłów rządowych. Widzą to jasno dzienniki opozycyjne; ale jest zawsze znaczna liczba ludzi, gotowych wierzyć lada pogłosce

---

POEZYA.

GAWĘDA WESOŁA

w dni słotne do czytania nader pożyteczna.

III.

Przyszła północ... Do komnaty
Wpada cichy blask księżyca,
Gobeliny, drogie maty,
Adamaszki ścian oświeca,
Po posadzce przemknął ślizkiej,
Wlazł na złoty gzyms powały,
I drżąc, zajrzał do kołyski,
W której leży Biesio mały.
Wtem za oknem dwie postacie
Pokazały się w półcieniu,
Przyjechały na łopacie,
Wchodzą cicho po promieniu,
A stanąwszy przy kolebce,
Nad dzieciakiem się schyliły
I djablica czule szepce:
— „Luli, synku ty mój miły!
Płynie tęskno w nocną ciszę
Rzewna piosnka twej matuli,
Niech cię słodko ukołysze,
Spij, maleńki! luli, luli!
Na pociechę rośnij matki,
Na pociechę rośnij taty,
Opatrzyłam cię w dostatki,
Będziesz możny i bogaty;
Ani ciebie dotkną groty,
Ani cios zadraśnie kuli...
Spij, pieszczotku ty mój złoty,
Luli, mój syneczku, luli!..
Kręty duszą, mocny ciałem
Ty zawładniesz nawy sterem;
Będziesz ziomków ideałem,
Będziesz wieku bohaterem.
Ludziom bagnet twój napisze
Ewangelię nowej wiary:
Działa — będą ich fetysze,
Kościołami — ich koszary.
A ty staniesz pełen dumy
Na ołtarzu, w sławy blasku,
I zakrzykną korne tłumy:
— Oto bóg nasz w pruskim kasku!
Z filozofów zrobisz płazy,
Co gotowe na skinienie,
Oddadzą ci pod rozkazy
Prawdę, godność i sumienie.
W togach mędrców—przeniewierce
Jadem fałszu będą truli
Ludzki umysł, duszę, serce...
Luli, mój Biesiuniu, luli!
Aż społeczność twą plugawy
Czerw instynktów dzikich stoczy,
Wtedy wydmiesz pęcherz sławy,
By nim mydlić ziomków oczy;
Zapatrzeni w takie cacko,
Staną się bezmyślną trzodą:
Zmysł i pamięć tego stracą,
Co jest prawdą, co swobodą:
A gdy kto ich opamięta,
Pięść mu twoja buzię stuli,
By oszczędzał twe jagnięta...
Luli, mój Biesiuniu, luli!..
Za twe czyny i zasługi
Piekło cię nagrodzi sporo:
Da ci żywot głośny, długi,
W końcu djabli cię zabiorą
I pomieszczą jaknajgłębiej
W pasiece ognistych uli —
Syn mój tam się nie zaziębi!..
Luli, mój syneczku, luli!..“
Gdy skończyła swą piosenkę
(Malec aż rozjaśniał od niej!)
Wtedy bies zanurzył rękę
Do kieszeni swoich spodni
I dostawszy z niej kałamarz
Nadtłuczony i pękaty,
Do kolebki włożył: „No, masz
„Podarunek ten od taty:
„Weź go sobie na dziedzictwo
„I pamiętaj, że nim ojca
„Twego omal o kalectwo
„Nie przyprawił Luter — zbójca;
„Niech ci zawsze przypomina
„Czarna ta atramentnica,
„Że jest obowiązkiem syna
„Odemścić krzywdę rodzica.“

IV.

Jeszcze szary był poranek,
Jeszcze słońce złotej głowy
Nie wytknęło z za firanek
Muslinowych mgły różowej;

i na tych to prasa urzędowa rachuje. Owszem, ostatnie dzienniki zapowiadają zjazd monarchów do Berlina na powinszowanie dziewięćdziesiątej rocznicy urodzin cesarza Wilhelma, a zjazd taki z postrachami wojennymi nie dałby się pogodzić.

Innego zdania jest autor świeżo wydanej broszury. Nie wymienia on swego nazwiska; mówią, iż ma to być jakiś oficer sztabu niemieckiego. Znaną jest w kilku wydaniach powtórzona jego książka o przyszłej wojnie Niemiec z Rosyą (pisałem o niej dawniej).

Kombinując czas pojawienia się tej broszury z rozwiązaniem sejmu niemieckiego i ogłoszeniem nowych wyborców, nie będąc głębokim politykiem, łatwo odgadnąć, iż jest ona jednym z manewrów polityki berlińskiej, obrachowanym na skaptowanie głosów polskich dla kandydatów rządowych w Poznańskiem, ale, dodajmy, obrachowanym niezdarnie.

A tymczasem Poznań chce się bronić od zagłady. Parę dni temu odbyło się walne zgromadzenie akcyonaryuszów „banku ziemskiego“ i postanowiło podnieść jego kapitał zakładowy do trzech milionów marek. Czy się te miliony znajdą? Od tego zależeć będzie całe przyszłe powodzenie usiłowań ratunkowych.

Miliony są, ale nie w naszych rękach. Patrzmy, jakiemi to krociami rozporządza półwiekowe już stowarzyszenie imienia Gustawa Adolfa. Dzienniki niemieckie rozesłały w tych dniach odezwę, zachęcającą do składek na ten związek protestancki, którego celem, jak wiadomo, jest wspieranie gmin ewangelickich i reformowanych tam, gdzie one są narażone na niebezpieczeństwo upadku, czyli, jak powiadamy, gmin in partibus infidelium.

Z odezwy tej dowiadujemy się, iż od założenia związku (1834) rozdał on przeszło dwadzieścia milionów marek, a w ostatnim roku rachunkowym udzielił 1296 gminom przeszło 660,000 marek zapomogi; składa się obecnie z 44 głównych, 1764 zwykłych, 421 żeńskich i 9 akademickich wydziałów; przyłożył się do zbudowania 1348 kościołów, 673 szkół i 429 plebanii.

Oprócz portretu Gustawa Adolfa, zdobią odezwę dwa jeszcze rysuneczki: jeden przedstawia skromny kościołek w naszym stylu wiejskim, oczywiście drewniany; drugi wyobraża ładną świątynię o wieży wysmukłej, w rodzaju niemieckich kościołów małomiasteczkowych. Zaciekawiony podobieństwem pierwszego do naszych, wpatruję się pilnie, aby się dowiedzieć, w jakiej to okolicy Niemiec są jeszcze rodzone siostry drewnianych naszych świątyniek. Podpisano: stary kościół w Hohenbachu. Gdzież jest ów Hohenbach?

W Galicyi! Leży w powiecie mieleckim, o parę mil od Sandomierza. Osadzie niemieckiej, niegdyś przez Józefa II założonej, galicyanie nie potrafili dotychczas nadać a przynajmniej dodać nazwiska polskiego, choć położona jest wśród ludności szczeropolskiej, a potomkowie osadników szwabskich mówią już dziś po polsku.

Udali się oni r. 1869 z prośbą o wsparcie do wydziału poczdamskiego i dostawszy przeszło 30,000 marek, wystawili nowy dom modlitwy. Nie byłoby zresztą w tem nic niezwykłego, bo że jednowiercy dopomagają sobie wzajemnie, to naturalne; ale grunt rzeczy jest w tem, że właśnie na posiedzeniu wydziału poczdamskiego, gdy uchwalono zapomogę galicyjskiemu Hohenbachowi, znajdował się cesarz niemiecki i powiedział, między innemi słowami: „Najgoretszem życzeniem mojem jest, aby sprawa stowarzyszenia coraz dalej i głębiej sięgała.“

Po cóż tedy wojna, pytam cię czytelniku, kiedy i bez niej propaganda giermańska nurtuje nas wszędzie, po cichu, systematycznie, bez krwi rozlewu, buduje nam koleje i kościoły, szkoły i dzienniki swoje zakłada, a potem pewnego ranku powie: to ziemia, zdobyta pracą kultury i marki niemieckiej, więc na wieki wieków niemiecka!

A my sobie powiadamy: polak to katolik, to tylko katolik; jest tam jakieś półmiliona mazurów protestantów, jest tam parękroćstotysięcy szlązaków ewangelików, a tu parę milionów żydów, a tu tysiące spolszczonych niemców reformowanych... ale cóż to za polacy? Niech sobie idą do... niemca!

Niemiec zaś objeżdża dziedziny nasze i opatruje grunt zawczasu. Gdzie podkopu założyć nie zdoła, tam choć oczerni, lub upokorzy. Oto przykład.

Pan Weisbrodt, którego imię często spotykają czytelnicy geograficznego tygodnika niemieckiego *Ausland*, zamieścił w ostatnim numerze jego z r. 1886 formalny akt oskarżenia przedsiębiorców naftowych w Galicyi wschodniej, pod efektownym tytułem: „Biali niewolnicy w Galicyi.“ Powiada on, że nad 11 tysiącami robotników w 1350 kopalniach w Borysławiu i Wolance nikt a nikt nie czuwa i że oddani są oni na pastwę wyzyskiwaczy. Jedni, według niego, zawierają umowy z tak zwanymi „kasyerami“ i ci są najnieszczęśliwsi: muszą dawać im 10% łapowego za samo tylko przyjęcie do robót, a zresztą zarobki tracą do rąk „pani kasyerowej,“ która ich utrzymuje; drudzy umawiają się bez pośrednictwa „kasyerów“ i ci mogą czasami coś ocalić z zarobku dziennego, czego szynkownia nie pochłonie. Mieszkania robotników opisuje p. Weisbrodt czarnemi barwami: sypiają oni, powiada, po 60 do 70, bez różnicy płci, w jednej izbie, całkowicie ubrani, tonąc w brudzie i zepsuciu. Czy który zachoruje, czy umrze, to nikogo nic obchodzi, bo na miejsce opróżnione napraszają się sceiny ochotników; do szpitalów odnoszą zwykle umierających i to bardzo często zupełnie nagich.

Ile jest w tym opisie prawdy, a ile złośliwości krzyżackiej, powiedzieć nie umiem; należałoby, aby korespondenci miejscowi rzecz tę zbadali i jeżeli są w istocie nadużycia lub wady w urządzeniu, agitowali na rzecz robotników, a tyle obiecujący nasz przemysł naftowy obronili od zarzutu „polskiego gospodarstwa.“

Gdy jednak obcy pozwalają sobie nieżyczliwie o niemcach pisać, to wtedy oburzenie ich nie zna granic. Wspomniałem już o książce Saint-Cère'a, która tyle krwi teutonom napsuła, chłoszcząc bez miłosierdzia ich śmieszności i wady. Otóż dotychczas nie mogą się oni uspokoić i szukają pilnie, kto jest autorem tego, jak powiadają, paszkwilu. Doszli tedy, że się nazywa Armandem, a właściwie Rosenthalem; nie mogąc zaś zaprzeczyć prawdzie jego spostrzeżeń, czernią osobę „paszkwilanta“: środek oddawna znany i wypróbowany...

Na wiązanie dla cesarza, którego dziewięćdziesiąta rocznica urodzin przypada w marcu, postanowiono w Niemczech zebrać składkę i z niej zakupić kilkakroć stotysięcy egzemplarzy książeczki, opisującej żywot solenizanta dla rozdania wojsku; będzie w niej ma się rozumieć i portret i sporo przymiotników w stopniu najwyższym.

Jakże skromnie wobec tej rocznicy wygląda mający się obchodzić w Cieszynie jubileusz czytelni ludowej! Dla nas jednak wielce jest on pocieszającym. W kraiku, od wieków od Polski odpadłym, bujnie za-

---

Jeszcze w puchach, na piernacie,
Baronostwo, śniąc, leżeli,
Kiedy mocny wrzask w komnacie
Dziecka zerwał ich z pościeli.
Pan w szlafroku i szlafmycy,
Pani w nocnym negliżyku,
Wreszcie służba, domownicy
Biegną na głos tego krzyku.
Niańka, mamka i lokaje
Spieszą—rwetes w każdym kątku!
— „Biesio wstaje! panicz wstaje!
„Trzeba pokarm dać dzieciątku.“
I już mamka pierś mu wkłada,
Ale z malcem jakoś biada:
Nóżką fika, pierś odpycha,
Własną rączkę mnąc w buziaku,
Więc pan baron: „Cóż u licha!
Chyba pokarm nie do smaku?
Poszukajcie innych mamek!..“
Wnet się służba w drogę ruszy,
Wkrotce kobiet pełen zamek,
Lecz wrzask ciągle drapie uszy,
Nieustannie malec beczy;
Co mu która pierś do gęby
Włoży, do krwi ją kaleczy.
(Ten fenomen miał już zęby!)
Co tu począć? Mączkę Nestli
Ktoś doradza baronowej,
Więc i mączkę tę przynieśli,
Darmo: skutek jednakowy.
Stary baron głowę traci,
Jaki pokarm dać dziecinie;
Baronowa w desperacyi
Woła: „Chłopiec z głodu zginie!“
Gdy tak żali się nad losem
Biesia matka nieszczęśliwa,
Wtem—o cudo!—grubym głosem
Nagle dziecko wrzasło: „piwa!“
Wszyscy drgnęli, zdjęci dziwem,
Baron uszom swym nie ufa,
Lecz rozkazał i wnet z piwem
Tuż stanęła pełna kufa.
Ledwo trunek ten podali,
Wnet ucichło małe chłopię,
Wszyscy patrzą nań zdumiali,
Jak łapczywie piwo żłopie:
— „O Herr Jesus! Czy widzicie,
Jak ten dzieciak piwo chłepce!“
Ale baron był w zachwycie
I zwrócony ku kolebce,
Krzyknie: „Brawo, zuchu!.. Oto
Najprawdziwsza krew niemiecka!
Szczerym będzie patryotą,
Dzielny prusak będzie z dziecka!“
Tak więc malec z woli losu
W życia swego pierwszej chwili,
Nabrał dużego rozgłosu:
Wszyscy o nim zatrąbili.
Baron cieszył się niemało
Tą istotką osobliwą,
Próżność jego to łechtało,
Że ma w domu takie dziwo,
Przytem w sercach baronostwa
Błoga tliła się pociecha,
Że spragnionym do ojcowstwa
Dziś ta rola się uśmiecha,
Co rozjaśni życie samo,
Dotąd puste i bez treści,
Kiedy słodkie: *tato! mamo!*
Słuch i serce ich popieści.

* * *

Snując pasmo marzeń złote,
Baronostwo się wysila
Na czułości, na pieszczotę
Jaknajczulszą dla pupila.
Dawny przedmiot ich miłości —
Pieski—poszły precz do kąta,
Dziś w ich sercach Biesio gości,
Biesio myśli ich zaprząta,
W Biesiu treść ich życia cała,
Przy nim (aż się każdy dziwi)
Baronowa odmłodniała,
Baron się porusza żywiej,
I tak błogo dni im biegą
Jak w różannej życia wiośnie,
A tymczasem dnia każdego,
Jak na drożdżach, malec rośnie.
Piwo działa znakomicie
I na chłopcu robi cuda:
W rok wyglądał już, jak dziecię
Bajecznego wielkoluda;
Niańka dźwignąć go nie zdoła,
Taka waga w nim i tusza!
Na co patrząc, baron woła:
„W tęgiem ciele dzielna dusza!“
Owa dzielność już w lat parę
Służbie dała się we znaki:
Malec bije niańki stare,
Zdobiąc twarze ich w siniaki,
Innym płata różne psoty:
Znosi na nich plotki, skargi.

kwita rozwój narodowy, a poczciwa czytelnia dwudziestą piątą rocznicę istnienia swojego uczci (6 lutego) stosownemi mowami i zabawą towarzyską.

Ponieważ zaczepiliśmy o rocznice, niech mi więc wolno będzie jeszcze jedną przypomnieć. Kilka lat temu, w łamach *Prawdy*, zachęcałem ludzi dobrej woli do upamiętnienia stulecia urodzin Byrona, które upłynie 22 stycznia r. 1888. Zdawało mi się, że pamięć poety, który tyle wpływu wywarł na największych wieszczów naszych, Malczeskiego, Mickiewicza i Słowackiego, który tak gorąco sprzyjał postępowi w dobie przezeń „żelazną“ nazwanej, nie powinnaby przeminąć u nas bez widomego pomnika. Projektowałem tedy wydanie zbioropisma, któreby zawierało obszerny żywot autora *Giaura*, studyum o wpływie jego na nasz kraj i piśmiennictwo, oraz dzieła jego, o ile potrzeba, na nowo przełożone, uporządkowane i w jedną całość zebrane. Ofiarowałem skromną pomoc własną, obowiązując się przełożyć szkic Macaulaya o Byronie. Pan Sygurd Wiśniowski przyrzekł mi, w razie powodzenia zamiaru tego wydawnictwa, napisać żywot poety według najnowszych, jak wiadomo, obficie dziś nagromadzonych źródeł. Powtarzam odezwę. Czasu już nie wiele. Obyż nie pozostała bez echa.

Rynek książkowy, jak zwykle o tym czasie, przynosi nieco nowości. Wyróżnimy z pośród nich kilka wybitniejszych. Uczony lejdejski Tiele, znany jako autor mitologii powszechnej i badań babilońsko-asyryjskich, ogłosił świeżo w przekładzie niemieckim (z rękopisu holenderskiego) dzieje babilońsko-asyryjskie; wyszedł tom pierwszy, ma być jeszcze drugi. Recenzent tygodnika angielskiego *Academy* bardzo chwali to dzieło, podnosząc w niem umiejętne wyzyskanie najnowszych odkryć na tem polu i niezależne stanowisko autora wobec apologietyki biblijnej.

Do lepszych nowości niemieckich zaliczyć też należy Jana Rankego *Der Mensch*, dzieło antropologiczno-etnograficzne, którego tom drugi i ostatni dopiero co się ukazał, prawie jednocześnie z Quatrefages'a *Histoire genérale des races humaines*, tomem wstępnym do pracy obszerniejszej, rozbierającym pytania ogólne i teoretyczne.

Krytyka niemiecka przychylnie powitała *Dzieje cywilizacyi niemieckiej* przez Henneam-Rhyna, autora oddawna znanej historyi cywilizacyi powszechnej.

Z Czech dochodzą mię wieści o wkrótce ukazać się mającym podręczniku rozmów czesko-polskich, przez prof. Horę z Pilzna, tłomacza wielu powieści polskich. Ile z udzielonego mi rękopisu wnoszę, będzie to praca pożyteczna i starannie wykonana.

Zeyer, którego śliczną powiastkę czytaliście niedawno w *Ateneum* (Teresa Manfredi, w tomie 2-m r. 1886), ogłosił świeżo w tygodniku praskim *Lumir* poemat p. t. „Olgierd Giejsztor“, osnuty na przygodach litwina w Czechach. Ograniczam się tymczasem wzmianką o nim, przyrzekając nadesłać wkrótce sprawozdanie obszerniejsze.

Czesi dzielnie się krzątają około nowej wielkiej encyklopedyi, czyli słownika naukowego, jak ją nazywają; wydawca praski Otto zgromadził do jej wykonania liczny zastęp pracowników; tom pierwszy ukaże się niezadługo.

Kończę zwróceniem uwagi czytelnika na świeżo wydrukowany tom „Aktów komisyi archeograficznej wileńskiej“, trzynasty z kolei; zawiera on wiele rzeczy ważnych i zajmujących; szczególnie ciekawym jest protest szlachty witebskiej, spisany w r. 1665 w Kazaniu.

Jan Karłowicz.

LISTY KRAKOWSKIE.

---

27 stycznia 1877.

Jak wdowa w starej piosence, może sobie Kraków zaśpiewać: Poszli wszyscy z domu, orać niema komu. Cały ten żywioł, który poruszał nasze swarliwe a ciasne życie publiczne, wyniósł się do Lwowa na sejm; tam radzi, wygłasza odczyty, spija toasty i pisze sprawozdania. Skończy się to już za parę dni, ale tymczasem głucha cisza wisi nad miastem: nie mamy zatargów w radzie miejskiej, Akademia umiejętności niczem na się nie zwraca publicznej uwagi, uniwersytet nie głosi własnemi usty chwały swych prawniczych i filozoficznych profesorów, *Czas* coraz nudniejszy z coraz nudniejszym paskwilem listów złej i złośliwej „przyjaciółki“ — młodzież spokojna, słowem, jałowa cisza. Nawet umrzeć w tych czasach posuchy nie warto człowiekowi „z towarzystwa,“ bo mu braknie mowy nad grobem, powag idących za trumną i nekrologów unieśmiertelniających na dni parę. Za to projektów na niedaleką przyszłość dużo. Kraków czeka na otwarcie nowozbudowanego wspaniałego *Collegium novum*, na budowę kliniki chirurgicznej, na przemysłową wystawę krajową i na wiele innych nowości. Akt otwarcia *Collegium novum*, przygotowywany od dawna, będzie stańczykowskiem świętem wielkiego stylu, któremu na celebranta obrano umyślnie rektorem profesora Tarnowskiego. Budowa kliniki, wytargowana i wyczekana po wielu latach usiłowań, poprawi znacznie opłakany stan szczupłości zakładów wydziału lekarskiego, który mimo zwiększającego się z roku na rok napływu słuchaczów i rzeczywistego, choć tak szorstko niedawno przez petersburski *Kraj* przeczonego rozwoju nauki na gruncie krakowskim, cierpieć musi takie fakty, jak naprzykład umieszczanie po dwóch chorych w jednem łóżku, lub słuchanie wykładu z sieni przez uczniów, których ciasna sala pomieścić nie może. Obecnie już tylko czynności urzędowe, czekające na załatwienie, opóźniają rozpoczęcie pracy, tak pożądanej dla postępu umiejętności — a spodziewać się można, iż w bieżącym jeszcze roku gmach stanie pod dachem.

Zapowiedziana na jesień wystawa krajowa ma na celu zgromadzenie wytworów przemysłu i sztuki rodzimej w najszerszem słowa znaczeniu. Prawie dziesięć lat doświadczenia i pracy publicznej dzieli tę nową wystawę od lwowskiej. Te lata są okresem, wypełnionym przez usiłowania na polu ekonomicznem, przez opiekę władz autonomicznych nad rozlicznemi gałęziami rzemiosł i obejmują w sobie całe rządy marszałkowskie d-ra Zyblikiewicza, z którego imieniem ten gospodarczy kierunek silnie się zespolił. Cokolwiek by się dało powiedzieć przeciw krokom, jakie podjął lub też zaniechał podjąć komitet wystawy, kierowany przez d-ra F. Jakubowskiego, radcę miasta, umilknąć trzeba ze względu na doniosłość sprawy. Wystawa ma na celu rzetelne dobro kraju, ma być miarą jego wytwórczej siły na całej przestrzeni przemysłu i sztuki; czy będzie chlubą, czy świadectwem ubóstwa, okaże zawsze sprawiedliwą miarę stanu rzeczy istotnego. Nie okresy mów sejmowych, lecz fakty przemówią o stopniu, na jakim kraj stoi. Wobec walki nierównej z przemysłem germańskim,

---

Każdy stroni od niecnoty,
Nie chcąc wchodzić z nim w zatargi.
Z gniazd dobywszy małe ptaszki,
Miażdży główki ich o skałę;
Własnoręcznie — dla igraszki
Dusi nieraz kotki małe,
Lub związawszy im ogony,
Rzuca, szczując, między charty,
Bije w dłonie zachwycony,
Kiedy kot już był rozdarty.
Baron patrzał na figielki
Chłopca z za wilgotnych powiek:
—„Zobaczycie—mówił—wielki,
Wielki z niego będzie człowiek!“
Baronowa zaś te zbrodnie
Na dziecięcą płochość składa,
I strofuje go łagodnie,
Że tak robić „nie wypada,“
Przyczem głaszcząc go pod brodę,
Mówi sobie tak nawiasem:
— „Trzeba dziecku dać swobodę,
Niech pobryka sobie czasem...“
On też brykał, jak należy,
Brnąc w psotnictwie coraz dalej,
Niańki, czeladź, guwernerzy
W duchu malca przeklinali.
I nie puściła ich zmora
Nie wytchnęli domownicy,
Aż baron uznał, że pora
Zawieść synka do stolicy.

V.

Tu czytelnik mi pozwoli,
Że opowieść moją skrócę,
Nic mówiąc już o swawoli
Biesia w szkołach, o nauce,
O tem, jak łotrując, przytem
Zyskiwał łaski zwierzchników,
Jak nie pracą szedł, lecz sprytem,
Nie znał książek, podręczników,
Lecz, spytany, w każdej chwili
Łgał zuchwale, pewno, śmiało.
Pedagodzy mu mówili,
Że jest uczniem, jakich mało.
Zazdrościli mu koledzy
I dziwili się nieladа,
Że bez pracy, nauk, wiedzy,
Egzamina pięknie składa.
On zaś, choć był asinusem
I nie trudził mózgownicy,
Jednak prawie jednym susem
Ze szkół przeszedł do wszechnicy.
Tam otwarte znalazł pole
Rozkiełzanej swej naturze,
Bo nikt inny w burszów kole
Nie dorównał mu w brawurze.
Podziw budził współkolegów
Siłą pięści, ciałem dużem,
Lew z wyglądu, lis z wybiegów,
A choć był podszyty tchórzem,
Twarz miał hardą, plastrem na niej
Bieś fałszował krwawe blizny,
By mieć w oczach swej kompanii
Pozór męztwa i tężyzny,
I gdy czuł się przed słabszymi,
Był niezmiernie do zwad rzutki;
Jego głos i wzrost olbrzymi
Już wywierał na nich skutki...
Każda wyższość jest to siła,
Która tłum ku sobie zbiera,
Więc się przy nim młódź kupiła,
Mając go za prowodyra.
W bierhallach z okiem ponurem,
Dzwoniąc w kufle, tłukąc szklanki,
Śpiewał „Wacht am Rein“ chórem,
Ściskał studenckie kochanki,
Antałkami chłonął piwo,
Wszczynał kłótnie i hałasy,
Lub wiódł dysputę wrzaskliwą
O wyższości pruskiej rasy.
W knajp zaduchu, dymie, parze,
W których słabo gaz majaczy,
Zaognione widząc twarze
Burszów, chętnych swych słuchaczy,
Wciąż w ten przestwor dymem mglisty
Rzucał śmiało swoją mowę
I z zapałem szowinisty
Wypowiadał myśli nowe:
— „Plemię nasze już z natury
Ma przywilej nad innemi:
Niemiec siłą swej kultury
Musi stać się panem ziemi!
Ale dojść do tego możem
Nie tym, jakim idziem, torem:
Nasz humanizm jest bezdrożem,
Jest na głowę wdzianym worem,
Co ociemnia, pęta ruchy,
Wszczepia niemoc w każdym czynie,
Więc bzykamy jako muchy
W pustych zasad pajęczynie!
Czułostkowość nas rozkwasza,
Gubi nas sentymentalizm!..

sentymentalnie i nieśmiało prowadzonej, wystawa może zająć stanowisko silnego przywódcy, który rozewrze naraz szeroki widok na pola zbytu dla wyrobów swojskich i pozwoli się skupić rozbitym a nielicznym usiłowaniom, podejmowanym przez słabe dłonie jednostek.

I Kraków czcić umie ludzi bez huku i „szopek,“ choć nie należeli do żadnej innej partyi, jak tylko do stronnictwa pracy. W Kole literackiem odbył się przed tygodniem jubileusz dwudziestopięcioletni Adama Bełcikowskiego, dzielnego pracownika myśli. Zasługom jego rzetelnym i poważnym oddano poważny hołd, do którego młodzież akademicka dorzuciła słowa czci serdecznej. Ten głos młodzieży tem donioślejszy, że Bełcikowski jest siłą, którą przed laty zasłużenie, choć bez powodzenia u kół rozstrzygających przeciwstawić chciano na katedrze literatury polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego p. Tarnowskiemu. Wśród wiru walk politycznych, jakie wstrząsają naszem miastem — idzie Bełcikowski samotnie i zdala od areny po swej mozolnej ścieżce badania i twórczości. Po dwudziestu pięciu latach wędrówki zastąpili mu tę drogę ludzie i ugięli przed nim czoła. Niechże mu ta sama droga będzie jaknajdłuższą i jaknajbogatszą w dobre plony.

W. P.

LITERATURA I SZTUKA.

Z ZACHODU.

Podrażnij papugę, wyciągając palce po kęsek pomarańczy uczepionej w klatce: nastroszy się i syknie, grożąc dziobem. Tak syknęła Hiszpania, spostrzegłszy lisi ruch Niemiec, czających się ku Karolinom, o których posiadaniu zapomniała sama; lis zląkł się nastroszonych piór i odszedł, powlócząc kitą, a ona odtąd na pomarańczę swą nie spojrzała więcej, słuchając dalej apatycznie brząkań gitary. Oto, co czyni społeczność, która dawniej także „pawiem narodów“ była, a dziś jest papugą i ledwie że nie „niewolnicą cudzą“, bo tylko jej powaga dawnej godności broni, jak grat antykwaryusza, na którym siadali królowie. Barwą swą ni katolicka, ni żydowska, ni monarchiczna, ni republikańska; ludzie rządzący w niej wyznaniem ni spirytualiści, ni materyaliści, ni pozytywiści; z bagniska systemów, co w niej fermentują, podnoszą się opony, układające się w jakąś formę maszkary sceptyka. Czem więc jest dziś Hiszpan, rozumiem kastylijczyk, potomek Cyda i Pizarrów? Ot, lazaronem, lubiącym słońce i dym cygara, komarze brzęki mandoliny i krew byków, zaklutych w hipodromie, szczęśliwym, że go nikt myśleć nie zmusza, każącym też sobie pokarm dla myśli przywozić z Paryża, od powieści aż do książki szkolnej, od teoryj politycznych aż do podręcznika dla służby wojskowej. A czem państwo, którego język swym wpływem ogarnął i zajmuje największą na świecie dziedzinę, czysty klasyczny język Kalderona, tak jednakowy w 20 prowincyach Ameryki, jak w ustach deputowanego do kortezów, jak w ustach chłopa? Oto kraikiem, którego pewne części, jak pusta Kastylia, zaludnione są gorzej od Syberyi, to w stosunku 5 mieszkańców na kilometr kwadratowy. Tylko słońce nad nim płonie bo samo, skąpe dla jednych, dla drugich rozrzutne. O, gdyby wolno było tobie przy tem słońcu ograć się, smutny kraju mój, i wonią cytrynowego kwiecia odetchnąć i pod namiętnem, parnem niebem chwilę na zapomnienie poszaleć! Ludy Wschodu, dość wam przyjść i wziąć ten kraj w posiadanie; czemuż jednym ma być cieplej, drugim chłodniej na świecie? Hiszpan się nie wzdrygnie, choćby na Alhambry baszcie półksiężyc zasiadł znowu; wiecież, co się dzieje w salach pysznego pałacu. Suszą się ryby dla wojska, a pod jednym z filarów podwórza fotograf zdejmuje przeciągłe fizyonomje anglików.

Wszystko sypie się w gruzy. D. 9 stycznia b. r. spłonął Alkazar, pałac w Toledo, z pysznymi schodami i biblioteką, świadek kilkowiekowej chwały narodu, założony przez Alfonsa VI, restaurowany przez Alfonsa XII, rezydencya Filipa II i Karola V. Dziwne zjawisko! Madryt jest nominalnie stolicą, parlament składa się z kastylijczyków, bo obcy akcent nie znajdzie u niego litości; duch Kastylii zawsze jeszcze jest panujący, a naukowe i artystyczne ogniska przenoszą się do Barcelony, Sewilli, Walencyi,—dowodem Quintana y Combis oraz zmarły przed rokiem prof. Mila y Fontanals, znakomici romaniści; dowodem przepyszny posąg Joachima I zdobywcy, rzeźba katalończyka Agapita Vallmiljana, postawiony niedawno w Walencyi, w 600 letni jubileusz bohatera. Z literackich wielkości ledwo Kastylii poeta Zorilla pozostał, ale romantyzm jego z dzisiejszymi prądami już nie licuje; mniejsi, jak realista Campoamor znajdują się w liczbie niewielkiej. A co już dla Hiszpanii jest ciosem to upadek teatru, tego rodzaju tak rdzennie hiszpańskiego. Czy to rozmnożenie się teatrzyków madryckich, rozpraszających siły twórcze pisarzów, czy przytępiony smak publiczności,— dość, że w dramatycznym skarbcu okazały się niedobory. W teatrze La Princessa zjawi się jeszcze niekiedy imię Echegaraya; właśnie wystawiono nową jego komedyę: *Hrabia Lotaryusz*. Hrabia, pan feodalny, kocha dziewczynę szlachciankę; zaślubiają ją drugiemu. On, pomarudziwszy, żeni się także; on ma syna, ona córkę—i już węzeł zadzierzgniony. Karlos kocha Klotyldę i jest kochany; teraz z całym zapałem paradoksów Kalderonowskich o dumie i honorze postawiona kwestya: czy wypada im być szczęśliwymi? Oczywiście wypada i oczywiście komedya nie przeniewierza się tytułowi. Na scharakteryzowanie wszystkich dość tej jednej.

Najlepsi artyści wynoszą się na prowincyach; scena ratuje się występami gościnnymi. Grano np. *Półświatek* Dumasa z panią Lucindą Simoes, portugalką i p. Mario, hiszpanem. Portugalskie nosowe narzecze (pani Simoes grała swym językiem) i gardłowe hiszpańskie stanowią sprzeczność o efekcie czarującym. Podczas gdy na scenach europejskich słyszy się opery nowe, jak: *Neron* i *Demon* Rubinszteina; *Herodyada, Cyd, Jean de Nivelle* Masseneta; *Carmen, Arlezyjka, Łowiec pereł* Bizeta; *Lackme, Król powiedział* Delibesa; *Henryk VIII* Saint-Saënsa; *Templaryusze* Litolffa; — w madryckiem Kolizeum: *Linda z Chamonnix* (!), *Favoryta, Mignon, Faust, Cyrulik sewilski* zwą się nowościami; *Prorok* Meyerbeera wywołał wrażenie. W operze komicznej Zarzuella słyszy się ustawicznie Millöckera i Suppego, jak w Berlinie. Niemczyzna wdziera się we wszystkie dziedziny zuchwale i przestraszająco; dość przejrzeć tygodniki illustrowane Madrytu i Barcelony z ich realistycznymi obrazkami niecznośnych scen familijnych: Szczęście matczyne itp. *).

*) Wypada mi zwrócić uwagę p. Andriolego, że w barcelońskiej *La ilustracio catalana*, z dnia 28 lute

---

Ginie stara dzielność nasza,
Teutonizm i wandalizm!
Hej! kto z stali a nie z masła,
Pleśń tkliwości z siebie strząśnij!
Precz rojenia, ckliwe hasła!
Naszem godłem — siła mięśni!!“
I to mówiąc, kułak wielki
Podniósł, wstrząsnął, o stół wali,
Aż stoczyły się butelki,
A słuchacze „brawo!“ dali.
Lecz niekiedy, gdy z patosem
Wykrzykiwał, wznosząc ramię,
Nagle ktoś donośnym głosem
Od drzwi knajpy wołał: „kłamie!“
I wnet cisza ogarniała
Salę zebrań; setki oczu
Biegły ku drzwiom, w których stała
Słuszna postać o warkoczu
Jasnym, długim — w bieli cała,
Twarzy szwabskiej, lecz nie brzydkiej,
Na głowie wianuszek miała,
A w pończochach modrych łydki.
W całej znano ją Germanii,
Od starego aż do dziecka,
Każdy wiedział, że ta pani
Jest to etyka niemiecka.
Z dawien dawna ta niewiasta,
Jak kapłanka była czczona.
Wszystkie wioski, wszystkie miasta
Odwiedzała stale ona;
W deszcz, pogodę, zimą, latem
Zawsze szła miarowym krokiem
Z apostolskim majestatem,
Z płomiennem, natchnionem okiem,
Z twarzą, w której, zda się, chowa
Razem młodość i sędziwość,
Szła, trzy tylko mówiąc słowa:
— *Prawda—miłość—sprawiedliwość.*
W mieście, w polu, czy wśród lasu,
Każdy, ile by ją razy
Spotkał—wiedział już zawczasu,
Że posłyszy te wyrazy.
I choć mowa ta widocznie
Rzeczą stała się powszednią,
Lecz ją brano za wyrocznię
I schylano głowę przed nią,
Bo wiedziano, że te słowa
Są owocem ciężkich trudów:
Praca długa, stuwiekowa
Wpisała je w słownik ludów
I na twardem serc ich głazie
Długo ryła słów tych głoski,
Zanim — wyraz po wyrazie —
Nakreśliła napis boski.
Czczono więc ten trójsłów wielki,
Prawdę tę ewangeliczną,
Dla szanownej głosicielki
Żywiąc ufność bezgraniczną.
Otóż godna ta matrona
Miała Biesia wciąż na oku,
Często więc niepostrzeżona
Zjawiała się w knajp natłoku
(Choć to miejsce nie *à propos*
Dobrze wychowanej damie...)
I zbijała zucha z tropu,
Na głos cały mówiąc: kłamie!
On z początku patrzał na nią
Obojętnie i z wysoka,
Mrucząc czasem przed kompanią:
— „Czego chce ta głupia kwoka?“
Lecz przez ciągłe z nią zatargi
Ujrzał kredyt swój zachwiany,
Więc się wściekał, kąsał wargi
I obmyślał zemsty plany.
Pewnej nocy z kolegami
Siedział w knajpie—setna czara
Szła bawara — przy nim sami
Byli bursze — jedna wiara.
Gdy zmiarkował, że koledzy
Dostatecznie już są cięci,
Że im braknie samowiedzy
I w ich mózgach piwo kręci,
—„Hej, kamraci!—rzekł—kto ze mną
Weźmie udział w mej wyprawie!
Niespodziankę mu przyjemną
I edeńską ucztę sprawię:
Znam dziewczęta... pewny jestem —
Nie widziało takich słońce!..“
Tu swą mowę poparł giestem,
W głos cmoknąwszy palców końce.
—„Hurra!“—bursze wrzaśli na to
I porwawszy się ochoczo,
Ten z rapirem, ów z sękatą
Pałką w drzwiach się knajpy tłoczą
I wychodzą tłumnie, gwarnie...

(D. n.)

Włodzimierz Wysocki.

— Mówiłem o decentralizacyi; objawiła się ona głównie przeciwstawieniem Kastylii pierwiastku katalońskiego.

Lat temu z górą 40 zmartwychwstało w katalończykach poczucie samoistności narodowej. Wiadomo, że w epoce międzyśródziemnej, t. j. przed odkryciem Ameryki Aragonia i Katalonia zabierały w związku państw na półwyspie iberyjskim miejsce poczetne i były bliskie zagarnienia hegemonii, a kto wie, czy język kataloński nie byłby dziś wszech-hiszpańskim, gdyby kupcy barcelońscy powierzyli byli swe kapitały awanturniczym przedsiębiorstwom zamorskim; tak, z odkrycia Ameryki zysk wynieśli ci tylko, którzy się na nie ważyli—kastylijczycy. Tradycye historyczne łączyły oddawna północne prowincye półwyspu z Prowansyą; Raimond Berengar, hrabia Barcelony, był równocześnie księciem Prowansyi (r. 1109); posiadali ją też czas niejakiś królowie arogońscy. Wspomnienia królestwa Arles, hrabstwa Tuluzy, hrabstwa Barcelony, królestwa Aragonu podniecały fantazyę epoki romantycznej 1831—48 roku; — badania lingwistyczne przypomniały trubadurów, przypomniały godność języka „łacińskiego“, najbliższego matczynej Romy. Odezwała się stara niechęć języka *d'oc* do języka *d'oïl*, spotęgowana żalem za krzywdy wojen religijnych z jednej strony Pyrenejów, a somopoczucie siły z drugiej. I jeżeli już w r. 1843 prof. Lallemand w Montpellier przepowiadał w książce *Le Ilachych* powstanie wielkiej konfederacyi neo-latynów, w której zabrać miały miejsce: Hiszpania, Portugalia, Italia, Francya i Belgia z Marsylią, jako siedzibą kongresu ibero-galickiego, to poeci marzyciele wykombinowali coś bardziej schlebiającego poczuciu odrębności pobrzeży morza Śródziemnego. Z odrodzeniem się poezyi prowensalskiej wykwitła w głowie króla Felibrów Mistrala teorya „państwa słonecznego“: *lEmpèri dóu soulèu*. Tego odrodzenia Roumanille jest ojcem; Mistral naczelnikiem (*capoulié*) Aubanel ułożył statut związku *Felibrige* w r. 1853, statut tem różny od innych na świecie, że jest ślicznym poematem. Zawiera np. taki ustęp o zasadach związku: „Winem jego piękność, chlebem jego dobroć, drogą jego prawda i t. d.“ Katalanizm, t. j. idea odrębności katalońskiej urodziła się w r. 1859 z odnowieniem tradycyjnych „gier kwiatowych“ (*Jo flourau*), konkursów, na których najlepsze poematy lub prace w języku prowansalskim, katalońskim, lub dyalekcie langwedockim otrzymują nagrody: bądź różę złotą, bądź fiołek złoty, srebrną stokrotkę lub świerszcza, symbol śpiewaków południowych. Najwyższa nagroda nosi nazwę „nagrody zaszczytu i grzeczności“ a stanowi ją kwiat naturalny; kto ją otrzyma, wybiera królowę. Konkursy te odbywały się co trzy lata, obecnie co siedem.

Idea Słonecznego państwa olbrzymiała. W St. Remy, w r. 1868, kiedy po raz pierszy od 5 wieków zeszli się poeci prowansalscy i katalońscy, poeta i deputowany Quintana wygłosił przed pięciotysiącznym tłumem entuzyastyczny sonet na temat jedności prowansalskiej i katalońskiej; jeszcze wyraźniej zaznaczył ją Aubanel r. 1874 w Avignonie, podczas 600 letniego jubileuszu Petrarki. W r. 1876 ogłoszono na propozycyę Quintany konkurs „Pieśni łacińskiej“ (Canco llatina), którego rezultatem było przyznanie jemu samemu nagrody w bardzo poetyckim roku 1878.

Zamiar, nurtujący bez wątpienia w tych gorących głowach nie skrystalizował się nigdy w kształty widzialne; marzyli oni o jakiejś niejasnej przyszłej konfederacyi, jakimś rodzaju nowego Latium, rozleglejszego i ludniejszego, niż dawne, z Prowansyą, Langwedocyą, Gaskonią, Katalonią, Walencyą, Majorką, nie wiadomo z któremi częściami Włoch i Rumunią — (Rumunia liczy się także do związku łacińskiego, a znane są sympatye królowej Elżbiety dla Felibrów).

W Paryżu na to obudziły się szumy i obawy, aż Mistral musiał publicznie zaprzeczać posądzeniom o zamiary odszczepieństwa. Było w tem wszystkiem jednak „coś“, i nie darmo prof. Gaston Paris pisał w *Journal des Debats*: „Fakty tego rodzaju mają donioślejsze znaczenie, niż się powszechnie przypuszcza i wierzy. Politycy z dnia na dzień mogą się uśmiechać, nie lekceważą ich ludzie kierujący światem. Ileż znalezionoby podobnych, nieznanych, zapoznanych lub rozumianych jedynie przez niewielu, u poczęcia najważniejszych zdarzeń historyi spółczesnej.“

Nic wypadło nic złego; fantazye uspokoiły się, gorączka minęła prędko, zwykle jak u południowców; dziś zresztą, po znacznem osłabieniu napięcia ruchu poetyckiego, Prowansya zamiary buntownicze pieścić przestała, wykoleiły się one, jak zwykle, kiedy polityka prowadzona jest przez poetów.

Tymczasem Katalonia nie myśli wprawdzie o oderwaniu się, ale pracuje nad odzyskaniem hegemonii; Barcelona jest stolicą materyalną państwa, ogniskiem handlowem i przemysłowem. Założone przed 4 laty *Centre catalá* urządziło zeszłego roku olbrzymią manifestacyę z powodu traktatu anglo-hiszpańskiego, żądając dla Katalonii zysków odpowiadających jej przewadze; wypowiedziano tam potrzebę decentralizacyi, uprawnienia językowego i t. d. W książce Val. Almiralla: *Lo Catalanisme* (Barcelona 1886 niewszystkim przystępnej, bo napisanej po katalońsku) — znajduje się wyborna charakterystyka typów kastylijskiego i katalońskiego. Pierwszy—to przeciwieństwo anglo-sasa, don Kichot wobec John-Bulla. Don-Kichot nigdy sobą być nie przestał: bezinteresowny, hojny, szlachetny, entuzyastyczny, przyjaciel pięknej formy, zawsze rycerski i zawsze dumny. Słaby już ciałem a duchem jeszcze słabszy, wypowiada przecież ustawicznie bój widzialnemu i niewidzialnemu; pozostał idealistą, ale idealizm to rachityczny, wyobraźnia zanikła, abstrakcye paradoksalne, środki szczupłe, zdolność inicyatywy żadna.

Katalończyk (autor w objektywności swej nie przebacza nikomu), jest równie zdegenerowany, ale w nim wyrodzenie objawia się pyszałkostwem, jałowością umysłową, skąpstwem kupieckiem. Łączy się w nim chęć postępu i bezwładność zacofania, słodycz i okrucieństwo, zniewieściałość i barbarzyństwo; egoizm i zazdrość, oto, co go prze do pracy nad wyzwoleniem. Sąd jest nieco ostry; katalanizm, jak rzekłem wyżej, obudził się wraz ze studyami literatury i historyi kraju, a naród, który się raz poczuł, bieży prosto ku chwale odrodzenia.

Tymczasem idea jedności łacińskiej nie rozwiała się, jej echa chodzą od Paryża do Madrytu. Emil Casteler, mówca, romansopisarz, dziennikarz, profesor *Ateneum* madryckiego, hiszpański Lamartine—jak go nazywają dla pociągającej urokiem wymowy, dla sentymentu marzycielskiego i subtelnego, dla filantropijnych skłonności, demagog, jeden z twórców rzeczypospolitej z r. 1868, dziś naczelnik konserwatywnych republikanów, niesłusznie przez Rocheforta niedawno ogłoszony Judaszem, wypowiadał, jak wiadomo, w Hôtel continental mowy, podnoszące poważnie mrzonkę Lallemonde'a, a że Castelar posiada dar proroczy, bo w 1856 roku przepowiedział zjednoczenie Włoch, w 1861 zjednoczenie Niemiec, w 1869 upadek drugiego cesarstwa, może też i dziś nie omylą go przeczucia wieszcze—przeczucia hazardowne, bo mogą do reszty zdyskredytować powagę wieszczą.

Obecny ustrój Hiszpanii godzien ze wszech miar ciekawości: zaspakaja ją bardzo dostatnio nowa książka Almiralla: „Hiszpanja — jaką jest.“ (Espana tal cual),— przegląd jej pozostawiamy do jednego z przyszłych artykułów.

Egrot.

LITERATURA RUSIŃSKA W GALICYI

za rok 1886.

II.

Jeżeli wpływ *szkoły* (nie literackiej, lecz właściwej a do tego jeszcze c. k. galicyjskiej gimnazyalnej) jest tak znaczny i widoczny nawet w liryce, najmniej podlegającej gustom publiczności i zostawiającej najszersze pole indywidualizmowi i właściwościom poety, to daleko znaczniejszym będzie on w utworach dramatycznych, w teatrze. Teatr rusiński—to instytucya, prowadzona siłami zbiorowemi, zostająca w sprawach artystycznych pod bezpośrednim nadzorem i kontrolą samych prawie nauczycieli gimnazyalnych, zasiadających w wydziale „Ruskiej Besidy“ i w komitecie teatralnym. Gusty więc tych panów decydują o wartości każdej prawie sztuki, wchodzącej na deski sceny rusińskiej, a już bezwzględnie każdej sztuki oryginalnej. Co nie podchodzi pod miarę ich pojęć estetycznych, to nigdy się do teatru nie dostanie. Cennych prac dramaturgów ukraińskich nowszych, jak Staryckiego *Ne rudyłos*, Kropiwnickiego *Daj serciu wolu* i t. d. nie próbowano nawet wystawić; *Hłytaj* tegoż Kropiwnickiego zyskał sobie prawo obywatelstwa dopiero po długiej i zawziętej walce z przesądami—nie przeciętnej publiczności, lecz właśnie najinteligentniejszych przedstawicieli rusińskich, którzy nawet dotychczas wypowiadają o wartości i „moralności“ tej sztuki wręcz przeciwne sądy.

Wogóle kanon estetyczny naszych naczelnych estetyków da się streścić w kilku, przeważnie przeczących zdaniach: „Jak najmniej chłopstwa, a jeżeli już chłopstwo, to przynajmniej „podczyszczone“, przemawiające tak, by nie gorszyło uczniów gimnazyalnych! Żadnych słów „nieestetycznych“ i żadnych sytuacyj „niemoralnych“! A zresztą pisz i przedstawiaj, co ci się podoba!“

Ironia losu! Kanon ten, na pozór tak niewinny i sprawiedliwy, przy surowem zastosowaniu staje się kodeksem obłudy i fałszowania prawdy życiowej, nosi więc w sobie samym jądro niemoralności, które może rozwinąć się w zupełny brak podstawy moralnej, jak to widzieliśmy w poezyi p. Maślaka. Zobaczymy, co za kwiaty hoduje on w literaturze dramatycznej!

Jest we Lwowie nauczyciel gimnazyalny, posiadający niewątpliwy talent dramatyczny, lecz pod wpływem pojęć, wyrobionych, jak się zdaje, na gramatyce greckiej i łacińskiej, lękający się wszelkiego realizmu, pozytywizmu i innych (ciemnych dla niego) *izmów*, jak dzieci żelaznego wilka. W ostatnich trzech latach napisał pięć komedyj, a ponieważ w nich zastosował streszczone powyżej zasady, więc nie dziw, że uznano go za pierwszorzędną siłę, od razu zajął stanowisko prawie wyłącznie kierujące w sprawach teatru, a od nowego roku 1887 w jego ręce została też złożona redakcya jedynego rusińskiego czasopisma literacko-naukowego *Zorja*. P. Gzegorz Ceglińskі jest rzeczywiście obecnie głową literacką starszego obozu galicyjskich rusinów-narodowców; prócz komedyj napisał parę nowel, umieszczonych w *Zori*, a z nowym rokiem rozpoczął tamże, obok krótszych szkiców, druk większej, jak się zdaje, powieści z życia ludu hercegowińskiego. Godzi się więc rozpatrzeć bliżej jego utwory, przedewszystkiem dramatyczne, które obecnie z powodzeniem grane bywają przez

go 1886 i 15 sierpnia 1886 znajdują się dwa jego rysunki: *Pokusa* (stręczycielka pokazująca dziewczynie korale) i *Niema mamy* z podpisami, jeden Cendriolle, drugi Adolf Bonz Erben—„malarza duńskiego.“ Winien się o prawa autorskie upomnieć.

rusińską trupę teatralną pp. Biberowicza i Hryniewieckiego i stanowią, bądź co bądź, pierwszy zawiązek oryginalnego galicyjsko-rusińskiego repertuaru.

Z pięciu komedyj p. Cceglińskiego dwie poczerpnięte z życia „inteligencyi“, dwie z ludowego, a jedna z mieszczańskiego. Składające pierwszą grupę: *Na dobroczynne cele* i *Sokołyky* (t. j. starzy kawalerowie) są bez wątpienia najsłabsze ze wszystkich; zdaje się, że widzimy przed sobą odgrzane stare i dawno zapleśniałe koncepty niemieckich komedyopisarzy XVIII st. w rodzaju Gellerta, maryonetki bez barwy i bez najmniejszej próby psychologicznego motywowania czynów, bez najmniejszej wzmianki o jakiemkolwiek życiu duchowem, o jakiejkolwiek inteligencyi tych postaci, wychodzącej po za ramy czysto zwierzęcych życiowych interesów. Ukształceni ludzie (być może rusini) w komedyach p. Cceglińskiego śpią, jedzą, zażywają lekarstwa, czytają nawet gazety, osobliwie wiadomości o awansach (książki ich nudzą), urządzają widowiska i koncerty na cele dobroczynne, t. j. dla złapania męża córce, żenią się wreszcie bez najmniejszego względu na uczucia i rozwój umysłowy drugiej płci, płodzą dzieci przeznaczone na to, by wyrastały na obraz i podobieństwo swych rodziców. Kobieta dojrzewa jedynie w tej myśli, że głównem zadaniem jej samoistnego, panieńskiego życia jest złapać sobie męża; w tym jedynie celu uczy się cokolwiek czytać, gry na fortepianie, a głównie przechodzi pod przewodnictwem matki i ciotek najzupełniejszy kurs kokieteryi i wszelkich sztuczek żeńskich. W mężczyźnie szuka nie rozumu, nie charakteru, nie uczucia, lecz dobrze rozwiniętej budowy fizycznej i kapitału, czy to w postaci gotówki, czy w postaci stanowiska. Odrzuca jego propozycyę, gdy ma na oku innego, przedstawiającego większą wartość materyalną, lecz w następnej chwili może zemdleć, gdy się dowie, że odrzucony przez nią—awansował. Również i mężczyzna spogląda na tę nędzną komedyę, jak na coś, co leży w porządku rzeczy i całkiem obojętnym jest, czy dostanie rękę takiej „wymarzonej“ panny, czy jej młodszej głupiutkiej siostry, czy wreszcie—służącej. Słowem, w tych komedyach znajdujemy się zupełnie na tym samym gruncie moralnym i umysłowym, jaki poznaliśmy w poezyach p. Maślaka, z tym jednym chyba wyjątkiem, że p. Maślak przynajmniej czasem sypnie parę frazesów patryotycznych, a bohaterowie p. Cceglińskiego o żadnym patryotyzmie, o żadnej Rusi nawet nie myślą nigdy.

W tym względzie daleko wyżej od inteligencyi stoi u p. Cceglińskiego lud i mieszczaństwo. W komedyi *Tato na zaręczynach* na tle banalnej z XVIII w. osnowy — przebieranie starej daty małomieszczanina w frak i spodnie dla dogodzenia kaprysowi „pańskowatej“ ekonomowej, z której córką chce się żenić niby inteligentny jego syn — narysował p. Cegliński przynajmniej jedną prawdziwą figurę, owego ojca, człowieka z silnem poczuciem swej osobistej godności z pogardą dla wszelkiego blichtru i pozoru. Jest to może najsympatyczniejsza postać w całym dotychczasowym repertuarze pana Cceglińskiego.

W jednoaktowej farsie *Zły dzień*, której wątku dostarczył fakt tak żywy i współczesny, jak wybór posła sejmowego w małem miasteczku, autor mimo to dowiódł, że pod względem metody opracowywania przedmiotu stoi na gruncie tradycyj XVIII stulecia. Nie poruszywszy nawet głębszego tła kwestyi: co to za wybory, jakie sprzeczne interesy w nich się ścierają, do jakich celów dążą przeciwnicy i t. p.—dał nam jedynie obrazek jednego manewru, obrazek zręcznie uscenizowany, ale ani typowy w naszych stosunkach, ani nawet prawdopodobny. Dwaj „porządni“ włościanie przybywają do miasteczka, dla wzięcia udziału w wyborach. Kandydat przeciwny temu, za którym chcą głosować, zjednał dla siebie żydów, którzy mają za nim agitować zapomocą rozdawania wyborcom wódki, kiełbas i innych przekąsek. Partja ta czuje się silną, — wie atoli, że dla zwycięstwa ostatecznego potrzebuje tylko dwóch jeszcze głosów. Głosy te mają żydzi wydobyć od owych włościan, — urządzają więc na nich formalną zasadzkę, rozstawiają straże po gościńcach, które każdego jadącego do miasta chłopa mają pytać, skąd on. Gdyby zaś był z tej wsi, skąd owi wyborcy (bo osobiście żydzi ich nie znają!), straże powinny konwojować ich do miasta i dostawić prosto w ręce żydów, którzy obrobią ich po swojemu. Tymczasem wyborcy, zmiarkowawszy już po drodze, o co chodzi, zmylili straże, oświadczając, że jadą z innej wsi, i takim sposobem niepostrzeżenie przybyli do miasta. Tu mieniają się odzieżą ze swymi parobkami i przystępują do urny wyborczej. Naturalnie parobków, przebranych za gospodarzy, opada tłum żydów, traktuje ich, nie dowiedziawszy się nawet, czy są wyborcami, namawia do głosowania za kandydatem panem, gdy w tem rozlega się za sceną radosny krzyk, że właśnie przy pomocy dwóch głosów owych przebiegłych wyborców kandydat „chłopski“ zwyciężył.

Pomimo całej płytkości tego konceptu i braku motywu, farsa pokazuje nam, bądź co bądź, dodatnie strony charakteru ludowego — wytrwałość w bronieniu swoich, czy dobrze czy źle zrozumianych interesów i to, choć niejasne jeszcze, lecz widoczne dążenie do rozwoju, do świadomości narodowej, które obecnie przejawia się w naszem ruchu chłopskim i napawa otuchą w lepszą przyszłość każdego szczerego miłośnika postępu.

Wreszcie ostatnia komedya p. Cceglińskiego *Szlachta chodaczkowa*, która w przeszłym roku pierwszy raz ujrzała światło teatralne, a dopiero teraz ma być drukowaną w *Zori*, jest z wielu względów najlepszym z dotychczasowych utworów tego autora. Widzimy w niej kilka żywo z natury schwyconych postaci szlachty zagonowej; z wielką zręcznością sceniczną, chociaż także bez żadnej głębszej myśli przewodniej, odmalowana walka wyborcza (tym razem idzie o naczelnika gminnego) w podgórskiej wiosce, zamieszkałej w połowie przez chłopów, a w połowie przez szlachtę „chodaczkową.“ Mimo swych zalet komedya ta miała mniejsze powodzenie we Lwowie, niż np. nierównie od niej słabsza *Sokołyky*. Przyczyny tego faktu szukać należy prawdopodobnie w tem, że szlachty chodaczkowej w Galicyi stosunkowo niewiele, tak, że niewielu z publiczności lwowskiej miało sposobność widzieć z bliska jej zwyczaje i sposób życia, a dla takich, którzy go rzeczywiście nie widzieli, cała akcya musiała wydać się czemś nieprawdopodobnem i w wysokim stopniu naciągniętem. Rozbiór tej komedyi podam czytelnikom *Prawdy* wtenczas, kiedy sam utwór będzie drukiem ogłoszony.

Iwan Franko.

LITERATURA POLSKA.

A. O (staszewski) *Szkice naokowo-literackie* z zakresu sztuki i archeologii. Kraków. Żupański i Heumann 1887 str. 192.

Zbiorek ten rozpraw charakteryzuje pisarzy ze szkoły krakowskiej, odznaczających się w badaniach naukowych gruntownością i krytycyzmem, a nawet silnym ruchem postępowym w kierunku czysto naukowym, ale z drugiej strony objawiających słowem i czynem wsteczne cofanie się w najżywotniejszych sprawach politycznych i religijnych. Ten mezalians nauki z wiarą polega u „młodych“ Stańczyków na milczącej ugodzie z głowami kościoła w tym duchu: „Zostawcie nam swobodę badania historyi, filologii, nauk przyrodniczych, słowem, rzeczy dotyczących wiedzy; za to obowiązujemy się nie wychodzić nigdy poza ten ściśle określony i ogrodzony obręb, co więcej, będziemy na zawsze i we wszystkiem wiernymi synami kościoła katolickiego.“ W tym kontrakcie ciągnie naturalnie główne korzyści religia, rzadko zaś i w bardzo ciasnym tylko zakresie nauka. Najczęściej, jak to ma miejsce z powyżej zatytułowanym zbiorkiem, rodzą się z tego małżeństwa istoty chorobliwe, bezkrwiste. Nie przeczę, że archiwalne i w niejednym punkcie krytyczne przyczynki autora do dziejów sztuki włoskiej w Polsce, do biografii polaków bawiących na uniwersytetach w Padwie i Bolonii, wogóle wiadomości odnoszące się do epoki naszego „odrodzenia“ zawierają wiele materyału cennego i nowego. Autor zwiedzał archiwa watykańskie, medyolańskie i t. p., zna dobrze galerye i muzea zagraniczne, — jest w jego szkicach niezaprzeczenie wiele erudycyi i doświadczenia, ale stanowisko, z jakiego patrzy na swój przedmiot, ale oświetlenie, w jakiem go przedstawia czytelnikowi, jest fałszywe i błędne. W myśleniu widać jakby organiczną wadę — tak tu wszystko chaotycznie pogmatwane i pomieszane, w przedstawieniu romantyczne, efektowne zabarwienie „szarej maści“, sztuczne wyszrubowanie suchej daty historyczno-archeologicznej do psychologicznego romansu. Proszę tylko przeczytać artykulik o płaskorzeźbie, znalezionej przez autora w Bolonii a przedstawiającej Jarosława Skotnickiego, jako rektora akademii bolońskiej, godzącego spór między studentami a mieszczanami. W poglądach estetycznych czuć więcej zbieracza starych gałganów i rupieci, niż badacza piękna, raczej amatora sztuki i dyletanta, niż prawdziwego znawcę i estetyka. Najgorszym jest szkic, traktujący o teoryi piękna, a szeregujący mechanicznie (Arystoteles tak mówi, Cycero oraz Vischer inaczej i t. p.) najsprzeczniejsze i najdziwaczniejsze zdania o podziale sztuk. „System“ autora „oparty na pozytywnej podstawie“ tak dowodzi: Cały obszar piękna dzieli się na sztuki piękne 1) objętów (t. j. brył), 2) powierzchni i 3) linii idealnych... Myśl tę powziął p. O. ze znanego szematu Platona, a naprowadził go na nią, „jeden z największych naszych filozofów — ks. Pawlicki!“ Ciekawe są wywody o tej „linii idealnej.“ Oto np. dowód, że „linia jest wyrazem muzyki, poezyi:“ „Linia jest wyrazem ruchu, granie i deklamacya jest ruchem. A więc linia jest wyrazem grania i deklamacyi. Aże granie i deklamacya jest wyrazem muzyki i poezyi, więc linia jest wyrazem muzyki i poezyi.“ (str. 29 — 30). Nie ma co, sylogizm prawidłowy, kojarzący w sobie scholastykę średniowiecznego Arystotelesa z mistyką metafizyki Platońskiej. Zacofanie konserwatysty poznasz z następujących zdań: „Choć piosnka pastucha i baśń mamki są dziełami sztuki, to ze względu na wyżyny, na jakie się wznoszą ich siostry, *nie zasługują one na najmniejszą uwagę estetyka*“ (str. 60). Twierdzenie, że tam jest prawdziwa oświata, gdzie niema nagich, głodnych i głupich, odnosi autor wyłącznie do stanu cywilizacyi pierwotnej, której najlepszy przykład ma przedstawić Szwajcarya, gdzie „fiakier (?) i milioner przy jednym stole siedzą, bo równy ich stopień potrzeb i wykształcenia“ (!). Wysoka cywilizacya umieszcza przy stole biesiadnym na pierwszym miejscu wysokich dygnitarzy duchowieństwa i arystokracyi, pospólstwo zapycha w kąt, dając im ogryzać kości i odpadki z pańskiego stołu... Pan O. wie zapewne, że im wyżej wznosi się skala pojęć estetycznych i wykwintnych potrzeb, tem niżej opada równocześnie masa ludności, uczestniczącej w tej produkcyi piękna pracą fizyczną, że zatem, ażeby stanęła „wielka opera“ albo gmach wspaniały, miliony podnagich bohaterów strasznej tragedyi bezrobocia pracować muszą w kopalniach i sute-

renach, plując krwią i węglem. Czyż więc stosunki takie zasługują na miano „epoki najwyższej cywilizacyi“ (str. 82) i czyż „najpozytywniejszym jej dowodem“ może być w takich warunkach ekonomicznych sztuka?

Ze studyów archeologicznych wyróżnia się treścią końcowy szkic *o mandragorze*, roślinie czarodziejskiej, zwanej w naszym języku ludowym *pokrzykiem* a przypominającej kształtem korzenia „człowieka.“ Ciekawy to przyczynek do etnologii, ale cóż powiecie na to, że autor w najlepszej wierze podaje wiadomość o pewnym wielkim „mężu stanu“ z pod wawelskiego grodu, który do dziś wierzy w swoją mandragorę *„bo* w chwili kiedy ją dostał, stanął na *najwyższym* urzędzie“ (str. 188). Szkoda, że autor nie nazwał go po imieniu; w każdym razie to świadczy o wysokiej inteligencyi jednego „filaru“ tej partyi, do której należy p. O.

Henryk Biegeleisen.

FILOZOFIA.

Stanley Jevons. *Logika.* Przełożył Henryk Wernic. Warszawa 1887.

Przyswajanie naszej literaturze dzieł z obcych języków, a szczególnie dzieł popularnych, zdolnych rozniecić światło w jakimś kierunku wśród narodu, jest bezwątpienia wielką zasługą; ale zasługą wtedy tylko, gdy tłómaczenie dokonanem jest sumiennie i ze znajomością rzeczy. Niedbałe i niezdarne, pomijając już, że wyrządza krzywdę autorowi dzieła, zamiast pożytku przynosi stratę niczem niepowetowaną tak ojczystej literaturze, jak i własnemu społeczeństwu. Literaturze, gdyż zanieczyszcza ją chwastem, którego i tak mamy poddostatkiem; społeczeństwu, gdyż zuboża je o cały kapitał nakładowy zmarnowany—kapitał, który mógłby być użyty na wydanie tłómaczenia dobrego, gdyż zniechęca czytającą publiczność do wszelkich wogóle przekładów, czyniąc je podejrzanymi w jej oczach.

Książeczka Jevonsa należy do rzędu tych rzadkich dzieł popularnych, które umieją godzić ścisłość i gruntowność wykładu z jasnością przedstawienia rzeczy, które przedmiotowi najbardziej oschłemu nadają życie i czynią go zajmującym. Daje mu ona możność w krótkim przeciągu czasu i bez wielkiego mozołu zdobyć dokładną świadomość o najpierwszych zasadach logiki, poznać naturę wszystkich czynności myślenia, oraz drogi, któremi dochodzą one do prawdy, bądź wykrywając ją, bądź dowodząc. Pilne jej odczytanie zdoła rozproszyć wszelkie uprzedzenia do logiki i przekonać, że znajomość jej nie tylko jest pożyteczna, ale konieczna dla każdego, kto pragnie zdać sobie sprawę z nabytków wiedzy ludzkiej, kto ciekawym jest dowiedzieć się, jakiej są one natury i jakiemi szlakami ludzkość do nich przyszła. Dla zrozumienia jej niepotrzeba żadnego przygotowania, żadnych wiadomości pobocznych, oprócz tych, jakie daje wykształcenie szkolne. Uczeń ze szkół publicznych, panna na pensyi mogą ją czytać z takąż łatwością, jak i wychowaniec uniwersytetu.

Że przyswojenie naszej literaturze dziełka, posiadającego tak wiele zalet pierwszorzędnych, było bardzo pożądanem, każdy to przyzna, kto zważy, jak gwałtownie potrzebnem jest naszemu społeczeństwu obeznanie się z zasadami logicznego myślenia i jak mało usposobionem jest ono do studyów, które wymagają i pracy i dłuższego czasu. Dla tego też wiadomość o wydaniu logiki Jevonsa w tłómaczeniu polskiem musiała ucieszyć każdego, kto ją znał w oryginale. Radość jego, niestety! nie długo trwała. Dość było przeczytać kilka pierwszych stronic przekładu, ażeby doznać najzupełniejszego rozczarowania.

Książeczka Jevonsa, w orginale jasna, jak kryształ, zajmująca, jak powieść, przybrana w polską szatę stała się ciemną i nudną, jak woda zamulona. Liczne ustępy są w niej zgoła niezrozumiałe, a niektóre nawet wprost niedorzeczne. Tłómacz, nie znając ani logiki, ani języka angielskiego, zamiast w razach wątpliwych szukać rady i pomocy w słowniku angielskim i w dziełach, poświęconych logice, takich, jak Baina lub Kremera, wolał zaufać własnej domyślności, która okazała się bardzo niedomyślną.

Na tem nie koniec. P. Wernic, chcąc oszczędzić sobie pracy i wyminąć napotykane trudności, postąpił sobie z tekstem, jak ów chirurg, który nie umiejąc poradzić choremu na nogę, uciął mu ją bez ceremonii. Czego tylko tłómacz nie mógł zrozumieć, lub też, co mu się zdawało zbytecznem, bez czego książka mogła się obyć, z tem nie robił wielkiego zachodu — i opuszczał bez żadnego skrupułu. Tym sposobem dziełko Jevonsa zostało tak nielitościwie pokaleczonem, że wygląda, jak kraj, przez który horda barbarzyńców przebiegła.

Zdawało się zapewne p. Wernicowi, że co się łatwo czyta, to się też da łatwo przetłómaczyć. Zapomniał jednakże przytem, że co innego jest przeczytać, a co innego zrozumieć, że tłómacząc takie dzieło, jak logika, a szczególniej logika początkowa, potrzeba nie tylko ściśle rachować się z tekstem, ale oprócz tego pilnować się, ażeby przez użycie niewłaściwego wyrazu nie zmienić myśli autora. Jeden wyraz źle użyty, jeden spójnik opuszczony, przymiotnik niepotrzebnie dodany—mogą rzecz zaciemnić i uczynić ją zgoła niezrozumiałą.

Jasność logiki Jevonsa polega głównie na ścisłości i dokładności określeń, na trafności przykładów. Ścisłość ta w tłómaczeniu polskiem ulotniła się. Wszystkie w niem prawie ustępy, wydrukowane tłustemi czcionkami — ustępy, w których podane określenia pojęć i praw logicznych, są jaknajfałszywiej zrozumiane i jaknajgorzej przełożone.

Nie brak tego rodzaju błędów i w innych miejscach, lecz co szczególniejsza, że najwięcej ich popełnił tłómacz w rozdziałach, zajmujących się rozbiorem i klasyfikacyą błędów logicznych, które p. Wernic nazywa w jednem miejscu (str. 143) *własnemi.* Zapewnie chciał je unaocznić przykładem własnym.

Nie podobna tu przytaczać wszystkich grzechów tłómacza przeciwko językowi, tak polskiemu, jak i angielskiemu, wszystkich nieporozumień, których winą nie jest sama tylko nieznajomość logiki i języka angielskiego, wszystkich niedokładności i opuszczeń, pochodzących głównie z niedbalstwa. Dokładny rejestr wszystkich tych wykroczeń mógłby zapełnić cały arkusz druku. Wymieniam tylko stronice, na których znajdują się najważniejsze, w tym porządku, jak po sobie idą: 6, 9, 12, 47, 56, 59, 73, 77, 80, 87, 90, 99, 100, 103, 106, 109, 115, 118, 121, 124, 125, 128, 129, 132, 133, 143, 158.

Wszak prawda, że zastęp imponujący! Mógłbym go w potrzebie powiększyć jeszcze.

Jakiego zaś rodzaju i jakiej doniosłości są te błędy, następujące próbki mogą dać czytelnikowi dokładne wyobrażenie.

„Wnioskować, znaczy wynaleźć, co będzie prawdą, *jeżeli coś* jest prawdą.“ Powie kto może, że jest to zapewne błąd drukarski? Za odpowiedź na to niech posłuży drugi przykład: „Rozumować, znaczy wyprowadzać pewną wiadomość *z pewnej* wiadomości.“ Dla czego tłómacz w dwóch tych zdaniach odstąpił od tekstu, w którym wyraźnie powiedziano: jeżeli coś innego jest prawdą... pewną wiadomość z innej wiadomości... trudno się domyśleć. W każdym razie nie dla tego, żeby uczynić zadość duchowi języka polskiego, gdyż właśnie gwałcąc tekst oryginalny, zgwałcił zarazem i naturę mowy ojczystej.

Są rzeczy jeszcze lepsze. Na str. 12 czytamy: Spojrzawszy na powyższą klasyfikacyę, zrozumiemy, że rzeczy płynne nie są ani niepłynne, ani niestałe (a zatem są stałe)... W oryginale zaś znajdujemy: płyny nie są ani klejkowate, ani stałe... Na str. 73 powiada tłómacz: sądy i sylogizmy hipotetyczne bardzo się różnią od tych, które poprzednio rozważaliśmy; gdy tymczasem u Jevonsa rzecz ta brzmi nieco inaczej. Podług niego sądy i sylogizmy hipotetyczne wcale się nie różnią od tych, które i t. d. Na str. 77: Jeśli pomiędzy niemi (alternatywami) zachodzi ten związek, że jednocześnie istnieć nie mogą... W oryginale: jeśli pomiędzy niemi zachodzi taka różnica, że wszystkie one (altarnatywy) w tymsamym czasie nie mogą być prawdziwemi. Na str. 87: Niekiedy *odgrzebujemy zupełnie* zniszczone kości zwierzęcia, a jednakże pozostały dotąd zęby oraz inne *części ciała* najtwardsze i najmniej ulegające zniszczeniu... Całą niedorzeczność tego ustępu najlepiej wykaże dokładne przetłómaczenie tekstu. „Nie rzadko kości zwierzęcia są całkiem zniszczone, pozostają tylko zęby, które są częścią ciała najtwardszą i t. d...

Do jakich nieporozumień prowadzi tłómacza nieznajomość języka tak ojczystego, jak i angielskiego, świadczy pomiędzy wielu innymi przykład następujący, w którym niewiadomo, co więcej mamy podziwiać, czy nieznajomość, czy brak zastanowienia. Na str. 68 czytamy: Wszyscy ojcowie rodziny płacą podatki na ubogich. Przeczytawszy to, można by pomyśleć, iż w Anglii są rodziny, które miewają po kilku ojców i że rząd angielski, tolerując podobne nadużycie, ogranicza się tylko na opodatkowywaniu go. Tymczasem ma to znaczyć, że ojcowie rodzin płacą podatki. Lecz czy w rzeczy samej w Anglii ojcowie rodzin są opodatkowani? Miałażby Anglia być tak przeludnioną, żeby wtedy, gdy w innych krajach myślą o opodatkowaniu starych kawalerów dla zmuszenia mężczyzn do zawierania związków małżeńskich, ona uważała za potrzebne powstrzymywać dalsze rozradzanie się ludzi za pomocą opodatkowania już nie małżeństwa, ale ojcowstwa? Zajrzyjmy do oryginału. Czytamy w nim: *All householders pay pour rater*, t. j. właściciele domów *) płacą podatek na ubogich.

Co się tyczy opuszczeń dowolnych, zrobionych po prostu dla skrócenia pracy, to pomijając mniejsze, ograniczające się na jednem lub dwu zdaniach, wymieniam dwa najznaczniejsze — na str. 12 w ustępie 16, w którym brakuje 13 wierszy, i na str. 120 w ustępie 163, w którym opuszczono 17 wierszy.

Na str. 21, w ustępie 27, p. Wernic nie mogąc przetłómaczyć wyrazów angielskich, podanych jako przykład na terminy dwuznaczne, czego mu naturalnie za złe brać nie można, zamiast dobrać odpowiednie co do charakterystyczności z mowy polskiej, zadawala się przytoczeniem pierwszych lepszych, jakie mu się na myśl nasunęły, chociaż żaden z nich nie przedstawia dokładnie natury dwuznaczności, o której tłómacz powiada, że tylko chwilową może sprawić nam wątpliwość co do znaczenia wyrazu, albo stać się *przyczyną śmieszności.* A przecież nie brak naszej mowie wyrazów, które rzeczywiście zdolne są stać się przyczyną *śmieszności.* Do takich naprzykład należy wyraz: *fujara*, który raz znaczy narzędzie muzyczne, drugi raz niezdarę, człowieka, nieumiejącego nic zrobić porządnie.

Kończę, nie chcąc dłużej nużyć czytelnika, który i tak mógł się należycie przekonać, że sąd mój o tłómaczeniu logiki Jevonsa nie jest za surowy.

W. Kozłowski.

---

*) Właściwie — gospodarze domu. *Red.*

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Bülow prześladowany. — Szereg naszych meteorów przeciągających z chwałą przez wszystkie strony świata. — Zasady jako wytrychy. — Ludzie konsekwentni i sztukowani. — Gdybym był bogiem... — Narada gwoździarzów niemieckich i losy naszej oszczędności. — Mąka i piasek. — P. Lindley sądzony we Frankfurcie za grzechy warszawskie. — Statystyka jego wyjazdów. — Co niemcom za mało, a nam dosyć. — Sprawozdanie komisyi kolonizacyjnej. — Przerwany targ.

Znakomity fortepianista Bülow pojechał do Pragi, ułożył sobie czeski program koncertu i miał mówkę sympatyczną do czechów. Jak długa i szeroka Germania zatrzęsła się zgrozą na tę zbrodnię. Przezwano odstępcę „Hanuszem,“ wyprawiono mu awanturę publiczną w Dreznie i Wiedniu, niema teraz na ziemi niemieckiej kąta, któryby przeciw niemu nie wykrztusił swego patryotyzmu. A nasza Kochańska *v.* Sembrich, a nasz Mierzwiński i cały szereg meteorów, śpiewających, grających, nazywających się według żądania, przedzierzgających się w najrozmaitsze narodowości, gotowych uraczyć swymi talentami Hartmanów i Eynernów bez skrupułu i bez obawy narażenia się rodakom! Doprawdy, my jesteśmy narodem bardzo filozoficznym! Gdzie spotkacie taki kosmopolityzm, tolerancyę, brak szowinizmu, ten wreszcie uśmiechnięty spokój, z jakim tylko Dyogenes drwił w swej beczce z głupców biegnących na obronę ojczyzny? Miewamy jeszcze paroksyzmy, w których oczy krwią nam zachodzą, gdy ktoś zdradził swoje uznanie dla poezyi narodu nienawistnego; ale napadają nas one coraz rzadziej i równoważymy je bezgraniczną pobłażliwością w innych zdrzeniach. Owszem nawet, pierś nam się rozdyma zachwytem, usta drgają radością, gdy czytamy, że p. Mierzwiński zachwycał Putkamera. Komisya kolonizacyjna, ukończywszy swoje dzieło w Poznańskiem, zapewne uczci je biesiadą, na którą zaprosi nasze słowiki. Och, trylowałyby, a ja wtedy biłbym brawo aż do spuchnięcia rąk. A jednak nie mógłbym nigdy spodziewać się wzajemności. Bo gdybym np. został korektorem *Nordd. Allg. Ztg* — utatuowanoby mnie wszystkiemi wzorami złorzeczeń; ale gdybym codzień śpiewał p. Pindterowi — pozyskałbym co najmniej sławę „naszego znanego kosa.“ Czy wiecie, kiedy człowiek jest najgłupszy i najwstrętniejszy? Wtedy, gdy nie trzyma się żadnych zasad stale i konsekwentnie, lecz nosi w kieszeni różne, jak wytrychy dla otwierania najrozmaitszych zamków. Wolę bandytę, wiernego ciągle swej szczerze wyznawanej teoryi rozboju, niż dobroczyńców, rozdających jałmużnę i kradnących czasami, niż moralistów świątobliwych, zawiązujących romanse przy konfesyonale, niż patryotów, pieniących się szowinizmem a za sto rubli spełniających nieprzyjaciołom posługi pudlów. Żadna zasada nie jest tak złą, jak brak wszelkich. Człowieka, ludzi konsekwentnych najgorszych można obliczyć, przewidzieć ich czyny, oznaczyć ich drogę; ale ludzie bez stałego kierunku są tylko żywiołami chaosu, drobinami kurzu, mułem mętu — czemś, co się kręci prawem przypadku i w żadną regułę ująć się nie da. Co kto woli: czy oklaskiwać, czy wygwizdywać Bülowa lub Mierzwińskiego, tylko niech w tej sprawie raz nie staje na nogach, a drugi raz na głowie. Gdybym był bogiem, zwołałbym wszystkich ludzi i zapytał każdego, jakim chce być: pozostawiłbym wszystkim wolny wybór, ale gdyby którykolwiek mu się przeniewierzył, takiego padalca obsypałbym trądem, obłożył liszajami, opryszczył mu krostami język, obwiesił torebkami zarazy usta. Gdyby kto zapragnął szczerze być złodziejem miodu pszczół chorych i był nim otwarcie, znalazłbym dla niego zapiecek w niebie; ale gdyby oświadczył, że będzie opiekunem sierot, a potem je okradał — sprawiłbym djabłom nowe widły, ażeby go roztrząsły.

Dante, budując swoje piekło, nie znał jeszcze niemców i dla tego nie wyznaczył im osobnego kręgu. Naród ten chyba po śmierci skolonizuje cały świat pozagrobowy, jeżeli zachowa te instynkty i zdolności, które ma na ziemi. Przed kilku dniami odbyła się w Warszawie narada niemieckich gwoździarzów, którzy obmyślili środki zapobieżenia stratom w obecnym zastoju ekonomicznym. Mianowicie zobowiązali się wszyscy unormować jednako płacę robotników. W jakiejś instytucyi prywatnej pracownicy jej postanowili założyć stowarzyszoną kasę i składać w niej oszczędności, osiągnięte z wydatków stosownie ograniczonych. Kilku coś tam wniosło, większość nie dała ani grosza, musiano więc skarbonkę rozbić. My tak zawsze (możnaby te słowa wstawić jako charakterystyczną zwrotkę kupletów operetki narodowej). Do ofiar, poświęceń, wytrwałości, działania łącznego — w projekcie objawiamy zapał wulkaniczny, ale iskra krzemienia nie gaśnie prędzej, niż ten nasz ogień. Tymczasem osadźcie jednego niemca w Tyflisie, drugiego w Archangielsku, trzeciego w Irkucku, czwartego w Wilnie, piątego w Warszawie, szóstego w Kaliszu — oni wszyscy, gdy dojrzą interes wspólny, zwołają się, pogodzą, umówią, dotrzymają układu i — jeżeli chodzić będzie o gwoździe — tak zagwożdżą przemysł miejscowy korzyścią swoją, że on bez nich ani się ruszy. Według wspomnianego układu, równowagę w gwoździarstwie niemieckiem mają u nas utrzymywać przypiłowanemi przez fabrykantów wymaganiami robotnicy. Współzawodniczej hydrze łeb ukręcono, nie będzie więc ona podrywać „geszeftów“ i wpływać na zmiany kosztów produkcyi. Pracę zakuto klamrami jednakiego rozmiaru — i środek na przesilenie w gwoździach wynaleziony. Nie doradzamy nikomu takiej zmowy, ale zapytamy teoretycznie: czem by ona zakończyła się, gdyby ją podjęli polacy? Naprzód nie wszyscy przybyliby na naradę, potem zebrani rozbiegliby się w zdaniach do sasa i lasa, wreszcie gromadka zawarłszy po wielu mozołach układ, zaczęłaby go nazajutrz skrycie i otwarcie łamać. My tak zawsze! My nigdy i nigdzie nie pokonamy ani niemców, ani żydów, ani francuzów, ani włochów, nie skutkiem braku „magazynierek,“ ale skutkiem nieumiejętności trwałego stowarzyszenia się. Jesteśmy nie mąką, ale piaskiem, w który lej wodę i drożdże, ciasta nie zagnieciesz, bo wyschnąwszy, zaraz się rozsypie.

Jeszcze przykład. Nikt zapewne nie przypuszczał, że za kanalizacyę warszawską wezmą się do p. Lindleya — niemcy i że on ich cenzurę odczuje. *Frankfurter Zeitung* ogłosiła krótkie dla niego napomnienie, zaznaczywszy, że lekceważy sobie przyjęte obowiązki. P. Lindley odpowiedział na zarzuty w tejże gazecie listem bardzo wymownym. Odpierając uwagę, że nie dozoruje robót w Warszawie, pisze: „Odnośna część § 15 w moim kontrakcie orzeka: „W tym celu p. Lindley odwiedzać będzie Warszawę co najmniej trzy razy do roku i tak długo w niej pozostawać, jak uzna za niezbędne dla postępu i powodzenia (Gelingen) robót. Czas swego pobytu w Warszawie przedłuży on, skoro komitet kanalizacyi i wodociągów zażąda tego koniecznie w interesie przedsięwzięcia.“ Tu p. Lindley, tłomacząc się frankfurtczykom, że nie na długo ich opuszcza, podaje statystykę swoich wyjazdów do Warszawy „łącznie z podróżami“: w r. 1883 — 86 dni, 1884 — 83, 1885 — 87, 1886 — 77. Widzimy z tego: 1) że p, Lindley „uznaje za niezbędne“ co rok mniej dni nam poświęcać, a komitet coraz mniej tej ofiary od niego „żąda“ i 2) że nawet 77 dni jego nieobecności we Frankfurcie, gdzie nie prowadzi tak ważnych robót i jest tylko „budowlanym radcą miejskim,“ wydaje się niemcom za wiele, podczas gdy Warszawa, która mu powierzyła tak olbrzymie i kosztowne przedsięwzięcie, na 77-dniowych jego odwiedzinach poprzestaje. Jeżeli tedy *Frankfurter Zeitung* powiada w przypisku, że „owe cyfry nieobecności, które p. Lindley sam podaje, są w wysokim stopniu pouczające dla stosunków frankfurtskich“, to chyba jeszcze bardziej są pouczające dla naszych. Odwróćmy położenie i przypuśćmy, że p. Lindley zajmuje w Warszawie posadę budowniczego miejskiego a we Frankfurcie zaprowadza kanalizacyę i wodociągi; my bez oporu uwolniliśmy go corocznie na 77 dni, ale czy to zaspokoiłoby niemców? Wątpię. Z tego wypadku skromność nasza wybłyskuje chyba całą swą jasnością. Ponieważ jednak *Frank. Zeitung* złośliwym uśmiechem urąga tej cnocie nadwiślańskiej, możeby więc komitet na mocy kontraktu zechciał dłużej zatrzymywać pana Lindleya w Warszawie. Pomijając przyjemność ugoszczenia tak znakomitego inżeniera, jego pobyt u nas, chociażby dociągnięty do najwyższej cyfry z r. 1843 — dni 86, nie tylko oszczędziłby nam ironii niemców, ale może wpłynąłby nieco na „postęp i powodzenie robót.“ Wprawdzie *Kuryery* od czasu do czasu pocieszają nas historyą kanału A, B, lub C, ale te opowieści trwają już nieco za długo i powinnyby dobiedz do końca — alfabetu. Na przyszłość, jeśli jakieś roboty powierzymy nawet anglikowi, dodajmy mu do kontroli komitet niemiecki.

Sprawozdanie komisyi kolonizacyjnej, z którego wyciąg zamieściliśmy w numerze poprzednim, nie ucieszyło ani niemców, ani „obywateli“ poznańskich. Pierwsi bowiem dowiedzieli się, że do padliny zakupionej przylatuje ze wszech stron masa kruków chciwych łatwego łupu, których „nieprzydatność odrazu rozpoznać można“ i których zlot wywróżono w sejmie, drudzy usłyszeli nieprzyjemną nowinę, że komisya, nie zużytkowawszy jeszcze majątków nabytych i zmuszona nimi zarządzać, postanowiła wstrzymać się nieco z dalszymi zakupami. Ta przerwa w jarmarku na patryotyzm jest bardzo dotkliwą, gdyż w ostatnich czasach już nietylko szumowiny, ale najczystszy bulion „obywatelstwa“ poznańskiego, nietylko męty, ale kożuszek śmietanki, nietylko jednostki liche, ale „mężowie używający szacunku powszechnego“ na wyścigi „kurczyli ojczyznę.“ Komisya nawet swoimi wielkimi środkami nie mogła podołać tej podaży i jakkolwiek uznaje, że trzeba i można tanio kupić prawie całe Poznańskie i Prusy wschodnie, musi ograniczyć do czasu tranzakcye i wstrzymać natłok patryotów, dopóki się nie znajdą bezpieczni osadnicy.

Nie, dłużej niepodobna śmiać się z tej licytacyi.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Obrazki święte ziemiaństwa. — Bank likwidacyjny i przestroga p. Kirszrota-Prawnickiego. — Zamach na podwaliny własności. — Program ministra skarbu. — Przemysł polski według p. Janżuła. — Uwaga *Mosk. Wiedomosti.* — Projekt p. Makowieckiego. — Wykłady przemysłowe przy szkołach wiejskich. — Egzamina służby kolejowej.

Wiadomo, że główną (czasami wyłączną) kategoryą szlachecko-ziemiańskiego myślenia jest kredyt, a przedewszystkiem kredyt tani. Wszystko, co w tym względzie przecieci przez prasę, ściąga uwagę i budzi nadzieję obdłużonych i jeszcze pragnących obdłużyć się posiadaczów własności większej. Zwykle nie brak projektów, które, jak obrazki patronów, wiszą w ramkach na ścia-

nach ziemian i są przedmiotem ich gorącej modlitwy. Są to święte banki: magdeburski (dotąd jeszcze nieukanonizowany), który ma udzielać pożyczek z amortyzacyą na 6%, włościański, który dając pieniądze chłopom, podniesie cenę ziemi, a więc poprawi interesy szlacheckie, wreszcie likwidacyjny. O tym ostatnim krążyła długo legenda, przepowiadająca rozmaite cuda w przyszłości. Wreszcie p. Kirszrot-Prawnicki zajął się tym przyszłym patronem rolnictwa w *Kuryerze warsz.* i niemiłosiernie zdjął łuskę z oczu niewidzących.

„Bank likwidacyjny — mówi autor — ma udzielać pożyczki po Towarzystwie kredytowem ziemsk. Jeżeli tedy list zastawny, zabezpieczony na pierwszym numerze hipotecznym, przynosi 5%, to zachodzi pytanie, gdzie się znajdą kapitaliści, którzy wezmą do ręki obligacyę, zabezpieczoną na drugim numerze hipotecznym, a przynoszącą tylko 3%? Kapitały da rząd. Przypuśćmy. Ale w takim razie, gdzie się znajdą źródła 3% kredytu? Chyba nałoży uciążliwe podatki. Ta struna jednak jest już zbyt wyciągnięta. Może więc rząd dla rolników zaciągnie pożyczki? Ale skoro sam za nie płaci 5%, jakim sposobem odda im za 3%? Projektodawcy usuwają trudność dowcipnym pomysłem, mianowicie: jeżeli który z wierzycieli hipotecznych zażąda zwrotu kapitału wypożyczonego, wówczas będzie musiał przyjąć 3% obligacye banku likwidacyjnego po cenie nominalnej. „Dotąd — mówi p. Kirszrot — mieliśmy do czynienia z błędami finansowymi, teraz występuje na scenę niesprawiedliwość, gwałt. Jeżeli pierwsza część projektu mogła być uważaną za nieszkodliwą zabawkę, niewymagającą nawet sprostowania, to druga część nosi w swem łonie niebezpieczeństwo, które bez przestrogi pozostawione być nie może. Ostrożnie przeto z wszelką niesprawiedliwością, z wszelkim gwałtem! Kto wstępuje na stromą ścieżkę przymusu, ten nie może przewidzieć, dokąd ona go zaprowadzi. Kto podkopuje fundament własności, ten musi być przygotowanym na to, że cały jej gmach runie."

Takiego skutku nie chcą chyba sprowadzić posiadacze i obrońcy własności większej, niech więc zdejmą ze ścian obrazek banku likwidacyjnego i przestaną się doń modlić.

Zmiana ministra skarbu i wprowadzenie na to stanowisko człowieka, który uchodzi za pomysłowego, również wywołało pewne przypuszczenia w kierunku taniego kredytu. A nuż... Gazety rosyjskie udzieliły zaciekawionym kilku objaśnień, które streszczają się w punktach następujących: 1) zaniechanie pożyczek metalicznych w walucie zagranicznej; 2) stwierdzenie fałszywości poglądu, że pieniądze papierowe nie mogą służyć do celów produkcyjnych, oraz 3) że zmniejszenie będącej w obiegu liczby rubli kredytowych wzmaga zawsze popyt na nie i podnosi ich kursa; 4) ograniczenie kredytu na weksle, a zwiększenie kredytu dla przedsiębierstw przemysłowych; 5) powiększenie kontroli nad towarzystwami akcyjnemi i operacyami handlowemi przez rozszerzenie i regulowanie działalności giełd i ich organów; 6) zasadnicze przejrzenie taryf celnych w celu zastosowania ich do interesów narodowych rosyjskich; 7) zaprowadzenie monopolu gorzałczanego i tytuniowego i wogóle czynny udział rządu w przedsiębiorstwach, których rozwój jest wstrzymywany przez spekulacyę, ale które przynoszą pokaźny dochód skarbowi państwa w podatkach pośrednich; 8) wypracowanie zasad prawidłowych dla taryf kolei żelaznych; 9) ścisła, lecz rozsądna oszczędność w wydatkach, opierająca się nie na tem, ażeby ograniczać wydatki produkcyjne, lecz na tem, ażeby je powiększać, bo na tem wygra kraj i skarb państwa; 11) usunięcie wpływów zagranicznych na finanse rosyjskie i wogóle życie ekonomiczne Rosyi.

Orzeczenia te są zbyt ogólnikowo wyrażone, ażeby można je przeniknąć szczegółowo; w każdym razie „taniego kredytu" jakoś nie zapowiadają. „Rolnictwo krajowe, rozciągnięte od lat kilku na łożu boleści" — jak je określa p. Kirszrot — będzie musiało obejrzeć za innym „narkotykiem."

Opuśćmy dziedzinę fantazyi.

Na dorocznym akcie otwarcia uniwersytetu moskiewskiego, prof. Janżuł przedstawił historyczny obraz rozwoju fabryk i zakładów przemysłowych w Królestwie Polskiem. *Mosk. Wiedomosti* przytaczają z tego wywodu ważniejsze ustępy. Od r. 1867 do 1879 przemysł bawełniany i wełniany w całem Cesarstwie wzrósł blisko w dwójnasób (92%), podczas gdy w „Kraju Przywiślańskim" — $4\frac{1}{2}$ razy, nie licząc powstałych w tym okresie tkalni, farbiarni itp. W roku 1867 obracał $1\frac{1}{4}$ milionem rs., a w 1879 już 5 mil. Ogólna suma produkcyi przemysłu polskiego (bez górniczego) wynosi rocznie w 10 guberniach Królestwa 101 mil. rs.

Według p. Janżuła, przemysł polski (tylko z imienia) rozpostarł się głównie w Rosyi południowej i kraju noworosyjskim. Chociaż on nie grozi jeszcze współzawodnictwem niebezpiecznem, wzrost wszakże fabryk polskich, zwłaszcza pogranicznych, z innych względów zasługuje na uwagę ogółu i rządu. Mianowicie fabryki te, posługujące się robotnikami cudzoziemskimi, „germanizują kraj rosyjski". Łącznie z tem postępuje napływ kolonistów. Roku 1874 było w Królestwie Polskiem 116,000 obcokrajowców płci obojga, dziś liczba ich wynosi przeszło 200,000, a posiadają $^1/_{10}$ całego obszaru gruntów „Kraju Przywiślańskiego." W niektórych guberniach (np. piotrkowskiej) są miejscowości, gdzie liczba wszystkich obcokrajowców co do języka przechodzi 40%, a gęściej jeszcze zaludniają oni wsie, aniżeli miasta. Tak np. w gubernii, kaliskiej cudzoziemscy właściciele ziemi stanowią blisko 44% wszystkich posiadaczów.

Do tych cyfr istotnie wymownych *Mosk. Wiedomosti* robią następującą uwagę, nieharmonizowaną z wystąpieniem tej gazety podczas ogłoszenia nakazu wygnańczego w Prusach:

„Należałoby cieszyć się rozkwitem ekonomicznym prowincyj polskich, które weszły w skład państwa rosyjskiego i myśleć tylko o tem, aby i reszcie miejscowości rosyjskich zgotować równie przychylne warunki produkcyi i zbytu. Ale czy tak się przedstawia przemysł kraju Przywiślańskiego, aby istotnie dawał powód do radości?

Nie, ten rozkwit jest faktem, świadczącym o rozwoju żywiołu obcego; to nie jest bynajmniej ekonomiczny rozkwit kraju, ale najście cudzoziemców; to jeden dowód więcej, jak się germanizują kresy państwa. A ta okoliczność zmienia do gruntu całą sprawę, całe jej znaczenie.

Zaznaczona przez sz. profesora germanizacya kraju, nie może być nadal cierpiana. Dwa lata temu nie ceremoniowano się z elementem przybyłym z Rosyi i odesłano go napowrót. Czyż Rosya powinna wobec tego w „Kraju Przywiślańskim" unosić się delikatnością z napływowym żywiołem niemieckim?"

Godzimy się i na to pytanie i na jedyną stanowczą odpowiedź; wiemy jednak, że sprawa ta kończy się tylko na pytaniach i to nie zawsze tak słusznych.

W Towarzystwie popierania przemysłu i handlu podniesiono niezmiernie ważną sprawę przemysłu istotnie polskiego. Mianowicie p. Makowiecki wystąpił z wnioskiem urządzenia przy szkołach wiejskich wykładów fachowych z przemysłu drobnego. Wskazał on nawet szczegółowo miejscowości i odpowiednie dla nich wyroby. Potrzebne w tym przedmiocie starania u władzy mają być przedsięwzięte, a bodajby uwieńczone były pomyślnym skutkiem. Ludowi trzeba dać pobudkę, naukę i wzory pracy. Jeśli go zostawimy własnej ciemnocie, niezaradności i nałogowi a tylko z góry krzyczeć będziemy głosem kazań z ambon dziennikarskich, którego on wcale nie słyszy — nie wyjdzie ani ze swej biedy, ani ze swej dusznej atmosfery. Za wiele od niego wymagamy, a za mało mu dajemy. Myśl p. Makowieckiego zasługuje na szeroki poklask i usilne poparcie. Wielkim dobrodziejem wieśniaków będzie ten człowiek, który im zapełni pracą korzystną długie czasy bezrobocia rolnego i nauczy wyzyskiwać warunki miejscowe.

Wyłączność praw nabywania gruntów włościańskich, zastrzeżona ustawą, z biegiem czasu musiała się pokruszyć i połamać. Naokoło samej Warszawy powstał wianek t. z. letnich mieszkań na gruntach tej kategoryi, które pod postacią długoletniej dzierżawy przeszły w posiadanie nabywców przywileju tego nieposiadających. Przewidzieć można, że za lat 50 lub 100 powstaną spory i powikłania, które będą musiały być rozcinane, bo rozwiązać się nie dadzą. *Dziennik Łódzki* donosi również, że komisarz włościański oddał do sądu jedenaście spraw przeciwko przemysłowcom, którzy kupili zabronioną im ziemię. Zwłaszcza jedna z tych spraw zasługuje na uwagę, gdyż nabywcami są dwaj przemysłowcy, należący do mieszczan-rolników, posiadających te same prawa, co włościanie. Zachodzi pytanie: czy nieuprzywilejowani mogą z uprzywilejowanymi nabywać w spółce ziemię chłopską?

Według *Pet. Wiedomosti* ministerium komunikacyi, dowiedziawszy się, że na niektórych drogach żelaznych służba nie zna języka rosyjskiego, poleciła dyrektorom i inspektorom rządowym, ażeby dokonali rewizyi i wyegzaminowali oficyalistów kolejowych. Otóż droga Iwangrodzka już wysłała osobną komisyę na te egzamina...

A. C.

POD MIKROSKOPEM.

I.

Kiedy Wy, przeglądając szeregi obozu postępowego, krzyczeliście: niech żyje! — ja się śmiałem; kiedy Wy, witając świeżych ochotników, ściskaliście ich wzruszeni—ja się śmiałem; kiedy Wy wskazywaliście z dumą rosnące pod waszą chorągwią zastępy — ja się śmiałem. Czemu? Bo widziałem, że pławicie się w mgle złudzeń, bo byłem przekonany, że ta „młodzież", która przysięgała na wnuków swoich wierność godłom buntu umysłowego, w znacznej części znuży się walką, zapragnie spokoju i wygody, rozpierzchnie się na różne strony — ci goniąc za wpływem i uznaniem, ci za pełną kiesą i półmiskiem smacznej pieczeni. Pozostanie przy dawnym znaku tylko drobna garstka nieprzejeduanych, jak osad krystaliczny soli po wyparowaniu wody z łachy morskiej. Tak też los sprawił. *Vivere est militare* — życie to walka — mówił Seneca; dziś należałoby rzec za Darwinem: życie to przystosowywanie się. Na stu powołanych do życia — jeden walczy a 99 przystosowywa się. „Ludzkość jest wielka — słusznie powiedział Börne — ludzie mali." Od małych trudno wymagać bohaterstwa. Duża też skala naszego „postępu" zaczęła pękać i rozpadać się, a jej odłamy i okruchy tu weszły w płot kamienny ogrodu pańskiego, tam w podmurowanie stodoły szlacheckiej, tam znowu w próg żydowsko-katolickiego dworu. „Człowiek — według Feuerbacha — jak Ulises — dziesięć lat walczy i dziesięć błąka się." Nie upłynęło nawet tyle czasu i postępowcy rozpoczęli Odysseę po wyspach konserwatywnych.

Zdobywał Troję i pan Rogosz. Wydawał on we Lwowie *Tydzień* — pismo z szerokim rozmachem liberalnym. W jego łamach strzelano do tradycyi nabojami ostrymi. Opuściwszy tę redutę, jeszcze przez czas jakiś p. Rogosz się czerwienił. Nareszcie gdy spostrzegł, że dla dotkniętych chorobą lub nawet pochodzą-

ych z miejscowości nawiedzionej zarazą, granica naszego królestwa jest zamkniętą, odbył kwarantannę w *Kraju* petersburskim, który jest rodzajem baraku dezinfekcyjnego dla cholery postępowej. Stamtąd wjechał już bez przeszkody do *Biblioteki warszawskiej*, gdzie także spotkał dawnego towarzysza broni — p. Sewera. „Chociaż nie wszyscy ludzie są Cezarami — zauważył ktoś — każdy ma swój Rubikon.“ I p. Rogosz także.

Opisuje on wrażenia ze swej wycieczki na wschód. Gawędzi nudnie, ale usiłuje zaznaczyć, że stoi już po drugiej stronie — Rubikonu. „A kto *wam* powiedział — wola z zapałem świeżo nawróconego — że świat stary można zburzyć *doszczętnie*, a całkiem nowy, niemający z dawnym *nic wspólnego*, na jego gruzach zbudować? Czyż nie widzicie, że w naturze *nowe* życie zawsze z *dawnego* powstaje?“ Wymownem jest tu tylko *quos ego*!, owo *ja* przeciwstawione *wam*. Że postęp nie chce „burzyć świata doszczętnie“ i że pragnie tylko, ażeby „nowe życie powstawało z dawnego“ — o tem p. Rogosz dowiedział się zapewne, jeżeli nie podczas redakcyi *Tygodnia*, to podczas współpracownictwa w *Przeglądzie Tygodniowym*. Ale szan. neo - konserwatysta nie chce o tem pamiętać, z umysłu zaostrza swój grot przesadą — co ze względu na jego świeże nawrócenie jest tak koniecznem, jak żal nad tem, że Odesa nie posiada „arystokracyi rodowej.“

Podróż zbudziła w autorze „szereg myśli“ innych, z których wysnuła się ciekawa teorya historyczno - polityczna. Według p. Rogosza, w wędrówce narodów najsilniejsi posunęli się najdalej ku zachodowi, a ponieważ „na jednem miejscu nie mogli bezczynnie długo stać“ (pojmujemy!), zaczęli więc oddziaływać wstecz na swoich słabszych sąsiadów.“ W tym ruchu „francuzi przerabiają na swą modłę“ belgów, szwajcarów, włochów i niemców, włosi „robią to samo“ z niemcami w południowym Tyrolu, ze słowianami w Istryi i Dalmacyi (zboczyli nieco od kierunku wschodniego), niemcy „mszczą się“ (bo na jednem miejscu długo stać nie mogą) na polakach i węgrach, polacy oddziaływają na rusinów, ci znów zdobywają przestrzenie azyatyckie.

Goethe sądzi, że „wszelki liryzm w całości musi być bardzo rozumnym, a w szczegółach trochę nierozumnym.“ Tu wprawdzie całość jest podobna do części, ale myśl autora odgadnąć można.

Od planu pączkującego trudno wymagać,ażeby wszystkie jego listki były należycie rozwinięte; widać wszakże w nim ten dojrzały pręcik, że, nie wyłamując się z rytmu historyi, powinniśmy z falą odpływu zalewać wschód. Zmartwychwstała tedy idea zdobywania „wschodnich kresów“ — i to w jakim czasie!

Czem zdobywać? O grekach starożytnych p. Rogosz mówi: „Lubili zdradę i krzywoprzysięstwo, a *mimo to* historya wielkimi ich zrobiła. Ach, ta historya!“ No, jeżeli greków niesłusznie rozsławiła, to już nie wiem, co jest siłą cywilizacyjną, którą moglibyśmy w sobie wytworzyć.“ Z tego powodu apostołem ewangelii politycznej p. Rogosza być nie mogę i rad jestem, że ją wygłosił w bóżnicy konserwatywnej. „W dziedzinie celów — powiada Kant — wszystko ma albo cenę, albo godność“ — tu nie widzę ani jednej, ani drugiej. Widzę tylko z Shakespearem, że „kto chce szybko rozpalić mocny ogień, roznieca go słabą słomą.“ Pod mikroskopem jest to *weakstraws*!

II.

Poeci rasy szlachetnej podlegają tak samo łatwo owrzodzeniom wątroby, jak lepsze gatunki owiec. Co wywołuje u tych ostatnich motylicę — nie wiem, ale nie widziałbym nic w tem dziwnego, gdyby przyczyna była podobną, to jest gdyby merynos chorował na wątrobę z powodu odrazy do poślednich gatunków owiec. W poetach jest to niewątpliwem. Ilu znałem utalentowanych, wszyscy mieli na sercu otwartą rankę, z której sączyły się krwawe łzy narzekań na nieudolnych krewniaków w Apolinie. Ani malarza, ani inżeniera, ani botanika, nikogo tak nie drażni istnienie partaczów w tymże samym zawodzie, jak poetę. Przed kilku dniami wchodzę do jednego z nich i znajduję go w silnym ataku nerwowym.

— Wiesz pan — woła, śmiejąc się spazmatycznie — nasze muzy, obdarte i uszargane, łażą po Warszawie, rozmawiają ze „stójkowymi“ narzeczem nadwiślańskiem a oprowadza je nasz poeta. Ha, ha, ha, nie żartuję. Słuchaj pan, jak w przekładzie polskim pewnego pisma śpiewa Mirza - Szaffy o pijanym i hałasującym na ulicy turku, którego ostrzega stróż bezpieczeństwa.

> Te krzyki bowiem pełne grozy (!)
> Śpiących mieszkańców mogą zbudzić,
> Gdy nie przestaniesz więc, *potrudzić*
> *Będziesz się musiał do kozy.*

Upomniany każe policyantowi „drżeć jak liście“ i „zbierać *ładnie*“ tych tylko, co padają; wreszcie zwalił się z nóg.

> Lecz co powiedział, *pomnił* jeszcze...

Cóż pan na to?

— Schiller powiada, że „życie jest poważnem, a sztuka wesołą.“ Tłumacz zastosował się do tej reguły, jak umiał, a przyznasz pan, że był wesołym.

— Niech go...

— Nie unoś się pan, pioruny są własnością Jowisza, który Apolina zawsze nie lubił.

— I do czego my dojdziemy?

— Do poezyi prawdziwie swojskiej odzwierciadlającej znamiona czasu.

Umilkł.

Ale panowie rymopisy nie dokuczajcie tak swojej szlachcie i arystokratom. Przynajmniej oszczędźcie im w poezyi języka warszawskiego.

III.

Jak wszędzie i u nas są maniacy sekciarscy, którzy wydają książeczki religijne, nawożą niemi ciemnotę ludu, a wkładają w tę sprawę tyle pieniędzy, trudów, energii, zapału, że aż przykro nieraz patrzeć na taki motor społeczny, zużywający swą siłę w obracaniu indyjskiego krążka z pacierzem. Do najgorliwszych należy w Warszawie pewien misyonarz protestantyzmu, na którego prasa bezustannie poluje i podstrzeliwa. Obładował on swoim towarem roznosiciela, którego spotkał jakiś „obywatel“ dzielnicy nadwiślańskiej. Zwabiwszy chłopaka nad rzekę, wrzucił mu całą pakę 38 „Modlitewników chrześcijańskich“ do wody. Naturalnie zapłacić za szkodę nie chciał.

Ręczę, że i ten „obywatel“ kocha się w wolności, a nawet z nią, o ile może, romansuje. Gdybym był pewnym, że nie utopi modlitewnika, napisanego przez Milla, posłałbym mu tę książeczkę. Dowiedziałby on się z niej, jaką wartość ma jego czyn bohaterski, przeczytałby między innemi te słowa: „Gdyby cała ludzkość była jednego zdania, a tylko jakiś osobnik innego, nie miałaby ona większej słuszności zmusić go do milczenia, niż on jej, gdyby do tego posiadał odpowiednią władzę.“

Zresztą tacy „obywatele“ powiślańscy mogą sobie mniemać, jak chcą, tylko już dla ładu w głowie i przyzwoitości niech się nie umizgają do wolności.

Gezyasz.

CUDZE GŁOSY.

Przemysłowiec, pismo liczące trzy numery istnienia, wypowiedziawszy także swoje „wyznanie wiary“, przypomniał sobie, że nie oznaczył swego stosunku do „obozów, na które *jakoby* dzieli się nasze społeczeństwo.“ Dopełnia więc spowiedź następującą skruchą:

Użyliśmy wyrazu *jakoby*, ponieważ w rzeczywistości objawy istnienia u nas obozów, są tak słabe i niewyraźne że nieledwie redukują się do wrogich sobie koteryi, w prasie, w której pewne organy siłą się na dosadne akcentowanie *nieistniejących* w rzeczywistości antagonizmów.

Postęp i konserwatyzm, oto dwa hasła, w imię których zawzięcie szermują niechętne sobie partye. Gdybyśmy chcieli ściśle określić znaczenie tych tak często powtarzanych i okrzykiwanych wyrazów, doszlibyśmy do przekonania, że pod nie podciągnąć można tak różnego a nawet wprost przeciwnego sobie znaczenia pojęcia, że wszelkie kruszenie kopii w imię tych luźnych haseł jest bezużyteczną walką z wiatrakami.

Jeżeli jednak zgodzimy się, na to że hasła te wypisane na sztandarach zapaśników, są tylko luźnemi bez treści wyrazami; to musimy się w takim razie zgodzić się, że i ów podział na obozy przypisać raczej należy *specyalnym gustom*, *sympatyom* i *predylekcyom*, nie zaś istotnym różnicom przekonań, opartym na jakiemś logicznem rozumowaniu.

My, przyjąwszy raz jako hasło naczelne rozwój indywidualny (?) społeczeństwa, a jako drogę wiodącą do celu, trzymanie się ściśle faktów przez naukę stwierdzonych, niemożemy przyznać się do żadnego obozu lub koteryi, których racyę bytu mają usprawiedliwiać hasła niedające się ściśle zdefiniować. Niemyślimy bynajmniej, przez to zapierać się swoich osobistych sympatyj, temi przecież możemy się kierować tylko w stosunkach życia towarzyskiego.

Przemysłowiec się myli, bo i on należy do obozu — nieznających gramatyki polskiej a zwłaszcza sztuki prawidłowego przestankowania. Różnicy przekonań od niego nie wymagamy i sądzimy, że bardzo słusznie zachowa on ją dla „stosunków towarzyskich.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Teatr. Przedstawiono komedyę konkursową F. Lubowskiego *„My się kochamy,“* w której autor jeszcze raz rozwija temat zniesławień i przeciwdziałania samolubnego intencyom uczciwym i charakterom szlachetnym, dowodząc, że my się nie kochamy. Szczegółowy rozbiór tego utworu podamy w numerze następnym.

Opera, która w ostatnich czasach nie zdołała prawie ani razu zapełnić sali miernymi głosami i ogranemi kompozycyami, wywołała natłok do kasy zapowiedzią *Noego*, pracy Halevego, dokończonej przez Biseta.

Teatr Mały wprowadził drugą operetę Millökera *Gennaro*. Ponieważ i w tej mieści się dużo melodyi łatwych, tanecznych, *Gasparone* więc przestanie zapewne nas dręczyć i ustąpi miejsca swojemu bratu, który jest również wesołym i skocznym.

Charakterystycznym wypadkiem dla tego teatru i warszawskich było sparaliżowanie jednego z widzów. Już nawet *Dziennik warszawski* powstał przeciwko pierwotnym, rzec można — zabójczym urządzeniom naszych świątyniek Melpomeny, w których korytarze są zimne a przez drzwi wlatują do sali przeciągi, grożące każdej chwili zdrowiu i życiu publiczności.

Daruje nam dyrekcya, ale to już nieco spóźniona pora dla takich niespodzianek i niewygód. Teatry zagraniczne rozstały się dawno z niemi. Tam już korytarze są ogrzewane a przy otwarciu drzwi obecni w sali nie chwytają się za głowy i nie osłaniają przeciw chłodnym przewiewom. To trzeba usunąć.

Kasa pomocy adwokatów przysięgłych odbyła doroczną naradę. Uchwalono, że uczestnicy, otrzymujący stałe zapomogi bezzwrotne, wolni są od opłat miesięcznych do 6 miesięcy z możnością prolongaty. Do zarządu, w miejsce wychodzących pp. Preisa i Bardzkiego, wybrano: pp. L. Marczewskiego i L. Grabowskiego.

Dla prawosławnych duchownych w dziesięciu guberniach zachodnich wyasygnowano 35,000 rs. na przedstawienie odnośnych gen. gubernatorów.

„Ruch małżeński,“ który na początku karnawału był bardzo leniwym, według wykazów statystycznych przy końcu ożywił się znacznie.

W uniwersytecie krakowskim otrzymali stopnie doktorskie: Br. Wasilkowski i Abraham Winawer.

Katedrę ekonomiki i statystyki rolniczej w szkole dublańskiej po chorym dr. Au objął dr. T. Rutowski.

Matica czeska w ciągu ostatnich lat 5 posiadała milion zł. r. dochodu i olbrzymi zastęp członków. Działalność jej płodna jest znaną. A co też słychać z galicyjską „Macierzą“?

Niektóre pisma nadzwyczajnie zachwycają się tem że p. Tatarkiewicz w interesie reżyseryi wyjechał do Paryża.

Bibliografia. Er. Antoni J. *Szkice i opowiadania*, serya V, str. 464. Kraków i Warszawa Gebethner i Wolff.

St. Grudziński *Nowelle*, str. 326, Warszawa, Gebethner i Wolff.

E. Majewski. *O pilniejszych potrzebach naszego języka naukowego* i o słowniku zoologiczno botanicznym str. 19, Warszawa. Gebethner i Wolff.

Towarzystwo ogrodnicze na zebraniu miesięcznem, obok załatwienia formalności, podniosło także sprawy ogólniejszego znaczenia. Mianowicie p. E. Jankowski przedstawił ciekawą charakterystykę „warzywników warszawskich.“ Jest ich w okolicach podmiejskich przeszło 400. Są to ludzie uczciwi, pracowici, zamożni, ale oporni wszelkiemu postępowi. Nie uprawiają wielu gatunków roślin, dla których warunki u nas są przyjazne (np. hodują jeden tylko gatunek sałaty a mogliby 12), nie używają narzędzi ogrodniczych (np. młynka powietrznego do pompowania wody), a stąd targ warszawski nie ma dostatecznej rozmaitości jarzyn, a gdy deszcze nie dopiszą, ma produkty drogie (np. kopę kapusty sprzedawano w r. z. po rs. 5.) Możnaby to wszystko usunąć przez wspólne porozumienie się warzywników, do czego najwłaściwszem miejscem byłoby Towarzystwo ogrodnicze.

Dr. S. Markiewicz objaśnił sposoby i korzyści hodowli jodełek w mieszkaniach.

Wiceprezesem wybrano p. P. Hozera, do zarządu powołano E. Jankowskiego, J. Sikorskiego, F. Szaniora, W. Kaczyńskiego; do komisyi rewizyjnej: Czajewicza, Zielińskiego i Meyera.

Wystawa narodowo-artystyczna włoska rozpocznie się w Wenecyi 25 kwietnia i trwać będzie 6 miesięcy.

Ustawa ochrony lasów opracowana została łącznie z przepisami o karach za przekroczenia jej.

W Łasku (wsi) na zebraniu gminnem zabroniono żydom nabywania od włościan produktów spożywczych dla odprzedaży.

Morderstwa i napady zbrojne znowu powtarzają się na prowincyi licznej. W Łęczycy gromada opryszków zrabowała sklep, na szosie warszawsko - brzeskiej około Międzyrzeca znaleziono w rowie na wozie włościanina z roztrzaskaną czaszką i t. d.

Zmowa rzeźników zwróciła uwagę prokuratora warsz., który polecił sędziemu śledczemu przeprowadzić badanie i wytoczyć proces.

Próba kamery dezinfekcyjnej p. Swiencianowskiego, dokonana przez doktorów Jakowskiego i Nenckiego, wykazała, że bakterye po dwu godzinach tracą w gorącem powietrzu zdolność rozwijania się i rozmnażania.

W Kijowie ogłoszono przepisy, warunkujące pobyt żydów w tem mieście: 1) kupcom starozakonnym, przywożącym towar, nie wolno go sprzedawać w sklepach, 2) karanym kiedykolwiek sądownie nie wolno przebywać: 3) handel publiczny mogą prowadzić tylko kupcy 1 gildyi; 4) każdy z nich ma prawo trzymać w sklepie tylko jednego subjekta żyda, domowników zaś nie więcej nad 4 mężczyzn i kobiet, 5) przepisy z r. 1881, dozwalające stale przebywać kupcom nie 1 gildyi, zapisanym od lat 10 do ksiąg ludności, zostaje zniesiony.

Klub polski w Pradze otwarty; na uczcie, prócz różnych przyjemności, uraczano się: kontuszówką, barszczem, kiełbasą i zraami z kaszą.

— **Zmarli.** K. Esmarck, prof. prawa rzymskiego— w Pradze czeskiej.

— Floryan Morawski, zwany „ojcem ubogich“, cieszący się powszechnem i szczególnem zaufaniem — we Lwowie.

— Józef Whitworth, słynny inżenier i artysta angielski — w Monte Carlo.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

St. N. i A. G. Prosimy o zmianę celu przeznaczenia rubla, gdyż „umysłowo zaniedbanych“ jest tak wielu, że nie wiemy kogo w imieniu panów obdarować a instytucyi tego charakteru niema.

Z. Ch. Każe nam Pani rozwiązać zadanie algebraiczne ze wszystkiemi niewiadomemi. Czem Pani może być użyteczną społeczeństwu poza swoją pracą zawodową? Skądże odpowiedzieć możemy, nie znając ani zdolności, ani wiedzy, ani niczego o Pani, czem człowiek pożytecznym bywa. Znamy inicyały nazwisko i zajęcie — oto wszystko. Wogóle pytania tego rodzaju najlepiej każdy sam sobie rozstrzygnąć może.

S. p. W takim zwrocie wyraz „nazad“ używa się, choć „napowrót“ lepiej. Sprawozdanie z „Ogniem i mieczem“ pomieściliśmy jeszcze w r. 1884. Co do „Potopu“ czekamy, aż spekulacya przestanie nakładać na tę książkę ceny bajecznej. Haracz to za wielki. Schiller — p. G. się omylił.

X. X. Sprzeczność niewątpliwie zachodzi, ale występuje ona bardzo często w tej książce. Może zresztą autor tylko nieściśle wyraził się — niech go Pani zapyta bezpośrednio.

W. R. Źle pan przetłomaczył i dla tego wypadła niedokładność. *Duction* znaczy tu: prowadzenie, kierowanie.

Z. Stop. Niech Pan sobie nie zanieczyszcza głowy tem zielskiem. Ów „krytyk“ jest tylko zuchwałym ochotnikiem. Takie sądy pisma drukują, ludzie czytają, ale nikt na nie nie zważa.

M. G. O takiem dziele Buckla nie słyszeliśmy i z pewnością go nie napisał. Chyba Mill?

OFIARY.

Na wpis dla uczniów. Urzędnicy z cukrowni Krasnosiółka, jako reszta kasy po zwiniętej czytelni rs. 14, Jabłkowski rs. 1. *Pomyłka:* Dębrowski z Łukowa nie rs. 3 kop. 70 lecz rs. 4.

Dla studentów. Przegrane w karty i nie przyjęte Jadwiga Por. rs. 2.

Na kasę imienia Mianowskiego. Roman Majewski z Kiryłowa jako członek za rok 1886 i 1887 rs. 10, Ksawery Hrubant z Petersburga jako członek rs. 10, Stanisław Majewski z Moskwy, jako członek rs. 5.

Sprostowanie. W poprzednim numerze, w artykule „Epidemia pesymizmu“ w szp. 3, w. 38. zamiast: „wzmaga się i zamienia“, winno być wzmogą się i zamienią; w szp. IV, w. 61 — 62, zamiast „materyałów“ winno być: „materyalistów“; w szp. 5, w. 35 zamiast „bardzo“ czytaj: mało, zaś w 38-ym zamiast „wyświadczą“ — wyświadcza.

Ogłoszenia.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 23 Января 1887 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.